

# ŻYCIE

WARSZAWSKIEJ SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ, STOWARZYSZENIA „SZKLANE DOMY”, ODDZIAŁU ROBOTNICZEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ DZIECI NA ŻOLIBORZU I GOSPODY SPÓŁDZIELCZEJ



P1906

WARSZAWA

GRUDZIĘŃ

1935 R

12.XII.1925 — 12.XII.1935

Gdyśmy dziesięć lat temu — 12 grudnia 1925 roku kładli kamień węgielny pod budowę pierwszych mieszkań Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, czyniliśmy to w pełnej świadomości, że kładziemy podwaliny pod nowy sposób zamieszkania.

Świadomość ta łączyła się ze zrozumieniem trudności, jakie przedstawiać będzie zastosowanie sprawiedliwych, a wyraźnych i praktycznych, dobrowolnie przez członków przyjętych przepisów, dotyczących przydziału i użytkowania mieszkań. Nie obawialiśmy się oczywiście trudności w gronie pierwszych 28 lokatorów, ale licząc już wtedy mieszkania przyszłe na setki, chcieliśmy zaprojektować takie zasady współżycia, któreby nie mogły przeszkodzić rozwojowi Spółdzielni, a przeciwnie dla innych podobnych instytucji służyły jako przykład. W poczuciu odpowiedzialności za każdy nasz krok w tej dziedzinie nie puściliśmy wodzy fantazji, ale przede wszystkim zdecydowaliśmy się dowiedzieć w jaki sposób interesujące nas zagadnienia rozstrzygane są gdzieś indziej i to nie tylko w ruchu spółdzielczym, ale i w innych organizacjach mieszkaniowych użyteczności publicznej. I na tych wzorach — francuskich, angielskich, niemieckich, austriackich oparliśmy pierwociny naszego wewnętrznego prawodawstwa, nie jednak nie kopując dosłownie, ale przystosowując do naszych warunków.

Regulaminy przydziału mieszkań, to znaczy zasady systemu punktowego (nie poszczególne punkty, ani ich wagę) wzięliśmy ze sławnych domów miejskich robotniczego Wiednia, wzajemną pomoc lokatorów z Francji; przepisy korzystania z mieszkań wymagały największej pracy kompilacyjnej — chciało się z każdego posiadanego w ręku przepisów wziąć nieomal **wszystko** a — każdy oddzielny przepis zdawał się być nadmiernym krępowaniem lokatorów, wreszcie oparliśmy się głównie na przepisach Spółdzielni robotniczej w Duisburgu nad Renem. W ten sposób korzystaliśmy, (podobnie zresztą jak i przy planowaniu naszych mieszkań) z do-

świadczenia robotniczego ruchu mieszkaniowego całego świata.

Nawiązany w początkach naszej pracy kontakt z zagranicą nie przerywał się nigdy, ale charakter naszych stosunków stopniowo się zmieniał.

Doświadczenie, któreśmy nabyli w budowie i administracji spowodował stopniowo ulepszenie i rozwój naszego wewnętrznego prawodawstwa, na terenie naszej Spółdzielni rozwinęło się bujne życie społeczne o szerokiej skali przejawów, plany naszych mieszkań dzięki współpracy licznego grona architektów, którym pierwsi daliśmy możliwość praktycznego zetknięcia się z problemem małego, kulturalnego mieszkania coraz bardziej się doskonaliły i w rezultacie — Spółdzielnia nasza i jej budowle stały się przedmiotem licznych wizyt i studjów nie tylko działaczy mieszkaniowych w kraju, ale i z zagranicy, i ci, u których myśmy brali początkowe wzory, przyjeżdżają do nas i długie godziny spędzają na oglądaniu i rozmowach, pozbawionych zdawkowych komplementów, ale pełnych rzeczowego zainteresowania.

Nie przestaliśmy się uczyć i brać od innych, ale zaczęliśmy także innym dawać.

W historii mieszkań robotniczych w Polsce stanowimy pierwszy najtrudniejszy etap i z zadowoleniem widzimy jak się rezultaty naszych dociekań doskonala i zwielokrotniają w pracy innych.

Zagranicą — reprezentujemy mieszkaniowy ruch robotniczy w Polsce. Mówię o tem nie dlatego byśmy mieli w dniu dziesięciolecia w faktach tych szukać szczególnego źródła radości.

Wszyscy, a jest nas legion, którzyśmy wznosili te budowle, mieliśmy, wśród ciężkich trosk i głębokich zmagani, dosyć radości twórczej, by za te troski i zmagania godną otrzymać zapłatę.

Mówię dlatego, że te osiągnięcia obowiązują nas i innych. My ze swej strony obowiązek swój do ostatka spełnimy.

Teodor Toeplitz,

## 10 lat walki o byt Spółdzielczości Mieszkaniowej

Dziesięć lat! Tak, 12 grudnia 1925 roku został wmurowany akt erekcyjny w fundamenty I kolonii W. S. M. na Żoliborzu, a tem samem zapoczątkowana „praktyczna akcja społeczna, mająca na celu dostarczanie szerokim warstwom robotniczym stolicy zdrowych, wygodnych i nowoczesnie urządzonych mieszkań”<sup>1)</sup>.

Bo w ten sposób rozumieliśmy zawsze cel i zadania Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Nie dostarczenie garstce spółdzielców założycieli kilkunastu czy kilkudziesięciu mieszkań, nie stworzenie zamkniętej ograniczonej dla wybrańców tylko oazy, lecz zapoczątkowanie akcji masowego budownictwa mieszkań robotniczych, zorganizowanie wokół tej akcji możliwie najszerszych zastępów robotniczych działaczy gospodarczych, wciągnięcie do tej akcji poprzez związki zawodowe szerokich rzesz robotniczych. Słusznie w rok później, przy oddaniu do użytku pierwszych 28 mieszkań pisał w „Robotniku” Teodor Toeplitz:

„Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa jest pierwszą organizacją robotniczą w Polsce, która jednocześnie z położeniem kamienia węgielnego pod budowę pierwszego domu na Żoliborzu, rozpoczęła kłaść fundamenty pod budowę Polskiego Robotniczego Spółdzielczego Ruchu Mieszkaniowego. Jednocześnie z plana-

mi mieszkań robotniczych Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa opracowuje **ideowe podstawy, na których ruch ten, oparty o związki zawodowe powinien oprzeć się**”.

Przed rozpoczęciem naszej praktycznej działalności opracowaliśmy i ogłosiliśmy t. zw. „postulaty mieszkaniowe klasy robotniczej”. Zbadaliśmy szczegółowo warunki w jakich mieszkają warstwy pracownicze Polski, to niesłychane upośledzenie proletariatu pod względem zaopatrzenia w ludzkie siedziby; zbadaliśmy możliwości płacnicze przeciętnie zarabiającego robotnika i pracownika umysłowego, jego t. zw. możliwości oszczędzania — i na tych podstawach oparliśmy postulat finansowania budownictwa robotniczego przez Państwo i gminę.

Tabliczka, ogłoszona na str. 49 „Budownictwa Mieszkań Robotniczych” ma nie tylko wartość historyczną: po dziesięciu latach nie mamy w niej nic do poprawienia. Warunki dzisiejsze finansowania budownictwa przez Towarzystwo Osiedli Robotniczych to nic innego jak przyjęcie liczb z tej tabliczki.

Niestety, kiedy zaciągaliśmy pierwszą pożyczkę na budowę pierwszej części pierwszej kolonii na Żoliborzu, ustawodawstwo o rozbudowie miast, o finansowaniu budownictwa mieszkaniowego — nie uwzględniało tych postulatów; powiem szczerze, nie dawało realnych możliwości budowy mieszkań robotniczych.

<sup>1)</sup> Słowa z aktu erekcyjnego I kolonii W. S. M.



Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński w otoczeniu członków Rządu Prof. K. Bartla zwiedzają W.S.M. w 1929 r.



Mieliśmy dwie drogi przed sobą: jedna — to akcja o zmianę ustawodawstwa poprzez reprezentację parlamentarną klasy robotniczej, akcja w której wypadałoby działać argumentami teorii, popieranej praktyką zagraniczną, argumentami niezwykle trudnymi do przekonania nawet swoich; druga — to akcja bezpośrednia uzyskania kredytów bez względu na warunki, rozpoczęcie budowy na zasadach spółdzielczych, zgodnie z wypracowanym planem z jednoczesnym rozpoczęciem akcji o zmianę tych warunków, o dostosowanie ich do możliwości ekonomicznych świata pracy. Na poparcie naszej akcji prowadzonej przedewszystkiem przez gospodarze organizacje klasy robotniczej zdobywaliśmy wówczas od razu argumenty praktyczne i dźwigaliśmy nową siłę — spółdzielczość mieszkaniową. Osiedle robotnicze, realnie istniejące i rosnące, racjonalnie i rozumnie gospodarowane, wszechstronnie badane i opisywane, zwiedzane i pokazywane — było tym namacalnym argumentem, którego żadna teoria zastąpić nie mogła.

Osiedle stawało się taranem i fortecą. Zjednoczone centralną kotłownią ogrzewania dzielnicowego, symbolizującą jedność, niemożliwość rozdzielenia gospodarki, spajało się coraz mocniej więzią pomocy wzajemnej, krzepło pomimo (a może wskutek) przeciwności zewnętrznych. Nie, nie było innej drogi.

Nie wprowadzaliśmy nikogo w błąd od samego początku. Leży przede mną 9 roczników sprawozdań drukowanych W. S. M. Ułatwiają one każdemu zorientowanie się w poszczególnych etapach rozwoju społecznego budownictwa mieszkaniowego w Polsce. Mówię tak ogólnie dlatego, że naprawdę W. S. M. bierze udział w niemal wszystkich pracach i wysiłkach mających na celu zdobycie trwałych możliwości budownictwa małych mieszkań dla ludności pracującej.

Każde osiągnięcie praktyczne czy to w wypracowaniu planu domu mieszkalnego i samego mieszkania z jego wyposażeniem, czy to w dziedzinie administracji domami i rozbudowy urzędów społecznych, czy też w dziedzinie organizacji samej budowy staje się podstawą do działalności ogólnej wychodzącej daleko po-

1  
9  
2  
8

za ramy Spółdzielni w dziedzinę wyjaśnienia, propagandy i zdobycia racjonalnych podstaw dla masowego budownictwa mieszkaniowego. Najintensywniejszy okres tej propagandy to lata 1927 — 1929. Krótka ilustracja: 20 marca 1927 roku odbywa się ogólnokrajowa robotnicza konferencja działaczy zawodowych, spółdzielczych i samorządowych poświęcona wszechstronnemu omówieniu sprawy budownictwa mieszkań robotniczych. Postulaty są przedstawione władzom państwowym. Przyczyniają się łącznie z poprzednimi interwencjami do ustawowego uprzywilejowania społecznego budownictwa w Rozporządzeniu Prezydenta z dn. 22 kwietnia 1927 roku o rozbudowie miast. Uprzywilejowanie to pozostaje niestety tylko na papierze. Doświadczenie i współpraca W. S. M. znajduje wyraz w syntezie niedomagań budownictwa mieszkaniowego, opublikowanej przez Komisję Ankiętową Badania Warunków i Kosztów Produkcji oraz Wymiany. 21 października 1928 roku Ogólnokrajowa Konferencja Spółdzielni Mieszkaniowych i Mieszkaniowo Budowlanych pobiera szereg uchwał w sprawach: realizacji wniosków Komisji Ankietowej, zdobycia środków finansowych na społeczne budownictwo mieszkaniowe, wysokości opłat w nowych domach kredytowanych z funduszy publicznych, polityki Banku Gospodarstwa Krajowego. Postulaty tej konferencji zostały potwierdzone w zasadniczej części przez tegoroczny Zjazd Spółdzielni i Zrzeszeń Pracowniczych R. P. w uchwałach Sekcji Mieszkaniowej tego Związku.

19 lutego 1929 roku został złożony w Sejmie i z pewnymi tylko zmianami wniesiony do łaski marszałkowskiej przez Klub Z. P. P. S. projekt ustawy o budowie mieszkań dla ludności pracującej, opracowany przez naszą Spółdzielnię. Projekt ten stawia poraz pierwszy zagadnienie w płaszczyźnie planu budowy **jednego miliona izb dla ludności pracującej.**

A potem udział w założeniu Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej, propaganda naszego dorobku spółdzielczego zagranicą, ciągle pogłębianie doświadczenia, powołanie do życia własnej centrali techniczno - budowlanej — **Spółcznego Przedsiębiorstwa Budowlanego**, współpraca stała i systematyczna ze



1  
9  
3  
3

Związkiem Robotników Budowlanych nad uspołecznieniem naszego procesu budowy, wyrobieniu nowego zastępu świadomych pracowników spółdzielczych.

I kiedy, jako realizacja naszych postulatów zostaje nareszcie zapoczątkowane budownictwo mieszkań robotniczych na zasadach „Torowskich”, jesteśmy pierwszą organizacją całkowicie przygotowaną do budowy osiedla, odpowiadającego naszym warunkom. W projekcie **Osiedla Rakowieckiego** nie trzeba nic zmieniać. Staje się ono faktem w ciągu niespełna dwóch lat.

Walka jednak nie jest skończona. Warunki kredytowania TOR'owskie muszą być rozszerzone na nasze Osiedle Żoliborskie, bo niema żadnej podstawy, aby **domy budowane dla ludzi pracy** w okresie dwa razy wyższych kosztów budowy, miały być obciążone dwukrotnie więcej od takich samych domów budowanych dzisiaj.

Walka nie jest skończona. Bo budownictwo mieszkań robotniczych musi być prowadzone w rozmiarach, odpowiadających istotnej potrzebie pozbawionych ludzkich warunków bytowania rzesz robotniczych. I musi być prowadzone poprzez wypróbowaną formę organizacyjną spółdzielni mieszkaniowych.

Walka nie jest skończona. Bo oto po dziesięciu latach, kiedy rozporządzamy niebylejakim doświadczeniem, kiedy posiadamy wypróbowany aparat techniczny i administracyjny, kiedy obiektywna ocena dorobku Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej może wypaść tylko dodatnio — grozi nam pozbawienie możliwości dalszej pracy, dalszej budowy, dalszego rozwoju, dalszego życia...

St. Tołwiński.

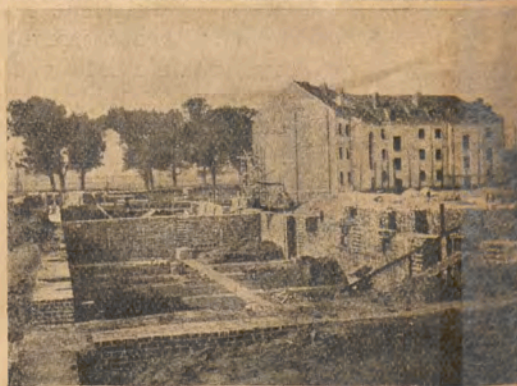
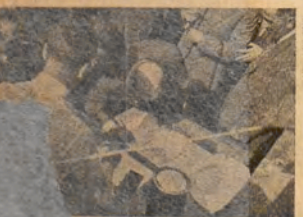
## Pierwsze kroki

Pierwsze lata formalnego istnienia Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, t. j. lata 1922, 1923, a właściwie i 1924, to okres wypatrywania możliwości istnienia i rozwoju spółdzielni mieszkaniowej, nie opartej na prawie własności. Okres bardzo stopniowego budzenia wiary, głównie przez pierwszego kierownika Spółdzielni B. Bieruta, iż spółdzielczość mieszkaniowa może być masową organizacją typu rocdelskiego.

Swoi i obcy, sympatycy i wrogowie społecznego ruchu spółdzielczego byli pod wrażeniem ruchu „niby-spółdzielczego”, korzystającego z firmy spółdzielczej dla budowania mniej lub więcej okazałych willi dla własnych wygod.

Bardzo stopniowo świadomość odrębności podstaw i możliwości mieszkaniowego ruchu spółdzielczego lokatorskiego dotarła do działaczy zawodowych i spółdzielczych (spożywczych).

Już jednak w drugiej połowie 1924 roku kilkunastu tych działaczy skupiło się wokół WSM.



W lipcu 1925 roku zarysował się konkretnie plan budowy na Żoliborzu. Teren pod pierwszą kolonię był uzyskany.

Drugą, niezbędną przesłanką do budowy był plan finansowy. Ówczesny Zarząd wyraźnie stwierdził w swych uchwałach, że: 80% kosztów budowy trzeba będzie oprzeć na kredycie B. G. K., 5% kosztów na wkładach członków, a 15% na **subsydjach gminy**.

Sprawa subsydjów gminy była tak pewną, że dyskutowano wówczas z Prezydentem Miasta tylko jedną kwestję, czy na subsydjum takie znajdzie gmina pokrycie budżetowe w 1925, czy też w 1926 roku.

Niestety... przemożne wpływy ówczesnego prezesa Rady Miejskiej spowodowały zmianę sytuacji. W związku z zatargami w Radzie Nadzorczej władze miejskie uzależniły swe stanowisko od stanowiska Prezesa Rady Miejskiej, a Prezes Rady Miejskiej — od uzgodnienia z nim składu Rady Nadzorczej.

W. S. M. odrzuciła takie „uzgodnienia” i stał przez długie lata rozwój — W. S. M. została pozbawiona opieki i pomocy gminy.

Zwracając się myślą do pierwszych kroków W. S. M., trzeba przyznać, że były naogół szczęśliwe i rzeczywiście stały się podwaliną dalszego rozwoju W. S. M.

1) stopniowy rozwój w oparciu o ruch zawodowy,

2) odrzucenie interwencji politycznych w wewnętrzne sprawy spółdzielni,

3) słuszna kalkulacja gospodarcza, opierająca się na pożyczkach budowlanych, subsydjum gminy i 5% udziale członkowskim.

4) wybór Żoliborza pod rozbudowę Osiedla Niezajęte tereny wokół I-ej kolonji pozwoliły na rozwój osiedla, niezbędnej podstawy masowości ruchu. Brak wszelkich inwestycji utrudniał pierwsze kroki — to prawda, — ale pozwalał na daleką i ładną przyszłość.

Stanisław Szwałbe.

## ARCHITEKCI I ROBOTNICY BUDOWLANI

### Moje spotkanie z W. S. M.

Gdy przechodzę koło budynków Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, często nadochodzi mi wspomnienie początków tej roboty, na której wyniki można dziś patrzeć z zadowoleniem. Jestem jednym z tych, którzy brali udział w tej pracy od samego początku i widzieli cały jej rozwój. Zaczęło się tak bardzo skromnie, że prawie humorystycznie i tego momentu nigdy nie zapomnę. Pewnego popołudnia przyszedł do mnie bardzo sympatyczny przedstawiciel Spółdzielni i w rozmowie, przeplatanej żartami, zaproponował zrobienie „na razie” projektu domku o 3 mieszkaniach na terenie I kolonji z oznaczeniem tylko ogólnego usytuowania budynków od placu i ulicy Tucholskiej.

Domki miało się budować zaraz na jesieni, zaś reszta była pod znakiem zapytania. Ten symboliczny „domek”, prawie dworek, został na szczęście tylko w projekcie, gdyż wkrótce wypłynęła możliwość budowy bloku od frontu. Był to wielki skok naprzód, gdyż od razu już zaprojektowano część społeczną i wogóle dalsze plany i zamierzenia poszły w tempie „lawinowym”. Ale żeby tę lawinę puścić w ruch, wiele godzin trzeba było strawić na obmyśleniu, dyskusjach i wzajemnym przekonywaniu się. Nie było na to sposobów, jak taką robotę zorganizować.

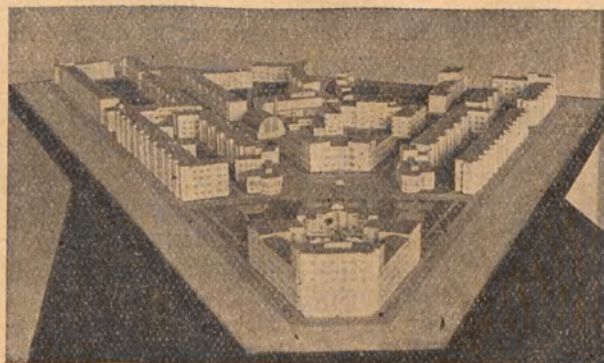
Wszystko robiło się „pierwszy raz”. I może właśnie, że to była nowa, twórcza praca sprawiało, iż z wielką przyjemnością chodziło się na zebrania Komitetu technicznego, tem chętniej zapewne także i dlatego, że były one okra-

szone szczerym, radosnym humorem niektórych uczestników. A było z czego się cieszyć bo „lawina” rosła.

Dla tych, którzy pamiętają założenie kamienia węgielnego I kolonji w ponury dzień jesienny na pustym polu z wielkimi ogołoconymi z liści topolami i potem powrót pieszo po śniegu i błocie „do miasta” — co razem nie dawało dobrej wróżby — dalsze postępy robót, projektów, zamierzeń muszą się wydać niezwykłymi. I jeszcze jeden moment pamiętam: uroczystość sadzenia drzewek na I kolonji. Trochę mi było dziwnie na podwórzu, które nieraz rysowałem. Nie wydawało mi się ono rzeczywiste.

Ale gdy usłyszałem przemówienie w tem (nawiasem mówiąc) akustycznym otoczeniu, zupełnie sobie wtedy uprzytomniłem, że nasze pierwsze zamierzenie jest zrealizowane i przedstawia niezaprzeczoną wartość dla społeczeństwa.

Bruno Zborowski.



## W. S. M. jako klient

Współpraca architekta z klientem jest niezmiernie ważnym czynnikiem dla powstającego budynku. Architekt musi dokładnie zrozumieć co jest klientowi potrzebne, klient musi znać pracę architekta i wiedzieć czego można i trzeba od niego wymagać. Tylko przy współpracy takiej w której jedna i druga strona wkłada maximum znajomości rzeczy i entuzjazmu rodzi się zdrowy budynek.



Aby nadążyć z postępem technicznym, odpowiedzieć nowym wymaganiom społecznym i koniunkturalnym, architekt musi pracować twórczo, musi mieć możliwość studjowania i eksperymentowania. Z zasady, niestety, klient boi się tego jak ognia. Pragnie mieć rzecz taką, jaką już gdzieś widział, rzecz zrobioną

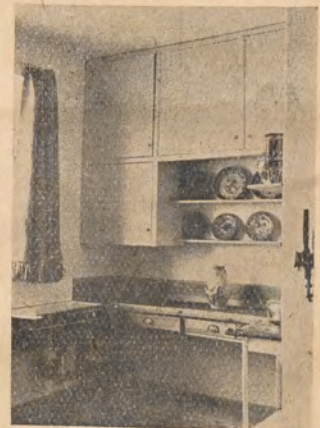
w innym czasie, dla innych ludzi i za inną cenę. Pod tym względem WSM. jako klient jest wyjątkiem.

WSM. zdecydowała się na wprowadzenie poraz pierwszy w Warszawie galerji komunikacyjnych, pomimo oporu władz, powodującego spóźnienie zatwierdzenia projektu o przeszło pół roku. Wywalczone galerje zyskały sobie potem prawo obywatelstwa w Warszawie.

Podobnie zmiana planu zabudowy terenu na którym została wzniesiona VII kol. było decyzją powodującą opóźnienie budowy o długie miesiące, w rezultacie jednak zamiast bloku o zawitych oficynach i podwórzach powstały 2 budynki o znormalizowanym typie mieszkań i dobrym oświetleniu.

Współpraca oparta na takich zasadach musi dać wcześniej czy później rezultat dodatni — mimo piętrzących się trudności WSM będzie rozwijała się na wytkniętej przez siebie drodze postępu w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego.

Barbara i Stanisław Brukalscy.



*Model i realizacja starannie przestudjowanego i zprojektowanego przez architektów B. i St. Brukalskich urządzenia wnęki gospodarczej.*

## Robotnicy budowlani w W. S. M.

— To już znaczy, dziesięć lat.

— Jak obszył. A ciekawe, czy dużo tu nas jest takich, którzy od początku, od kamienia węgielnego przy spółdzielni pracowali?

Chyba niewielka garstka. Niektórzy nie byli nawet członkami, inni wpisali się, wyprowadzili, rozsypali po świecie. Różne rzeczy się na to złożyły.

— A wy, towarzyszu, kiedyście się u nas znaleźli?

— Pracowałem przy budowie II-giej kolonji, ale cały rok pracowałem, nim się dowiedziałem, że to jest robotnicza spółdzielnia i wogóle co to jest Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane. Nie wierzyłem wtedy, że z tego co może być, tylko, że jak na Zdobywcy, pozarywają ludzi i tyle. Żona moja, tytoniarka, zapisała się przez patronalną umowę na to mieszkanie, to ją namawiałem, żeby się wypisała, bo to bujda. Dopiero dużo później sam się zacząłem starać, żeby tu zamieszkać. Bo tak jakoś za-

częło wyglądać, że to będą nasze własne, robotnicze domy.

— A tak, towarzyszu. Ja budowałem własnymi rękami piękne i mniej piękne domy, ale nigdy nawet na myśli nie miałem, że w których z tych domów będzie kto z nas mieszkał. Jak się w sobotę dostało ciężko zapracowane pieniądze, to z nimi dość często nie można było trafić do domu. I tak było przez cały szereg lat. Dopiero się coś naraz odmieniło. Dowiedziałem się, że buduje piękne domy W. S. M. na Żoliborzu, że tam będą mogli mieszkać ci, co murują, a także ja ze swoją rodziną. Wtedy zaraz zacząłem pracować w S. P. B.

W. S. M. opowiadano mi, to instytucja, w której będą mogli zamieszkiwać pracownicy umysłowi w wyższych kategoriach uposażeni i robotnicy, pracujący w stałych warsztatach pracy o wysokich płacach. Po otrzymaniu pracy w S. P. B. przy budo-



wach domów W. S. M. zapoznałem się bliżej z działalnością Spółdzielni i przekonałem się, że nie tak wygląda jak mnie informowano. Po dłuższych obserwacjach doszedłem do przekonania, że w tej instytucji mogą mieszkać robotnicy nawet słabo zarabiający i postanowiłem zostać jej członkiem. Po przyjęciu mnie w poczet członków zacząłem wpłacać udział po 2 zł. 50 gr. tygodniowo, a po wpłaceniu udziału i otrzymaniu mieszkania 8-mej kol. nastąpił „mortus“ i znów zdawało mi się, że nie będę mógł zamieszkiwać W. S. M. Po wyłożonych siłach z mej strony i wydatnej pomocy Stowarzyszenia wzajemnej pomocy lokatorów „Szklane Domy“, przetrwałem ciężki okres przejściowy i muszę stwierdzić że W. S. M. mogą mieszkać robotnicy sezonowi.

— Ja to jestem starszy od was obu, bo pracowałem już przy I-ej kolonji, chociaż nie od samego początku. Pod Matuszewskim pracowałem, jeszcze wtedy prywatne przedsiębiorstwo budowało. Zawsze marzyłem, żeby móc zamieszkać w pięknym i wygodnym domu W. S. M. Bo mieszkałem wtedy — pamiętam, jak komisja przydziału mieszkań przychodziła badać moje warunki, to głowami kręcili. Nie potrzebowałem zimą na narty do Zakopanego wyjeżdżać, bo sport narciarski można było na ścianach uprawiać, taka była wilgoć. Zapisalem się na członka i wpłacałem udział i wkład ratami, ale zamieszkałem dopiero w IV-tej kolonji, bo w I-szej i II-ej lokale były dla mnie zadrogie.

— Teraz to kolonja już nie ma znaczenia. Jak jest ciężko rodzinie, to można korzystać z pomocy doraźnej...

— A jak się wam spodobało to nowe mieszkanie? Duża różnica?

— No! Podniósł się cały poziom życiowy. Stu-

procentowo lepiej dla dzieci. Dziedzińce, ogródki — przedszkole i szkoła. Wszyscy z rodziną czujemy się zdrowi.

— I pracuje się też inaczej. Sześć lat mieszkam i pracuję w W. S. M., bo mnie przy każdej budowie zatrudniają i inaczej jakoś buduję domy, niż te, które murowałem, a w których żaden robotnik nie miał możliwości mieszkać. Zdaje mi się, że wszyscy murarze w W. S. M. tak samo czują — i jesteśmy dumni, że mieszkamy w domach, które sami stworzyliśmy.

— Jak się już o tem mówi, to trzeba wspomnieć o zasługach W. S. M. dla organizacji robotników budowlanych. Dopiero w czasie pracy tutaj stworzyliśmy jednolity Klasowy Związek Zawodowy. Mnie to nim się dostałem wylali z jednego przedsiębiorstwa prywatnego za to, że namawiałem za związkiem.

— A w swem Osiedlu — to pozatem, że się tu czysto i wygodnie mieszka, dobrze jest, że stanowimy jedną rodzinę, walczącą o swoje sprawy, że każdy może znaleźć i rozrywkę — należeć do orkiestry, czy do jakiego klubu, czy pójść na odczyt, albo do czytelnii...

— Niektórzy to się nawet wstydzą przyjść z roboty — jak się to mówi — w pestkę — bo inni tego nie robią.

— Budujemy nietylko domy — ale piękny gmach współżycia i wspólnego wysiłku o uświadomieniu klasy robotniczej, co nam daje wspólna i solidna praca.

— Ano swoje sprawy — w swoje ręce.

R. W. K.

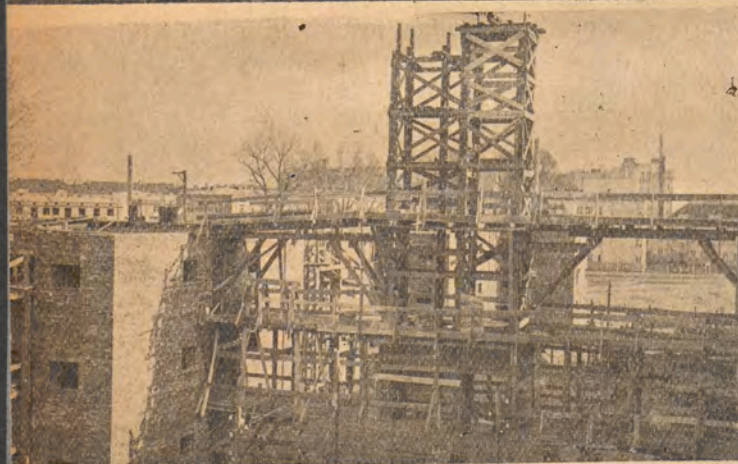
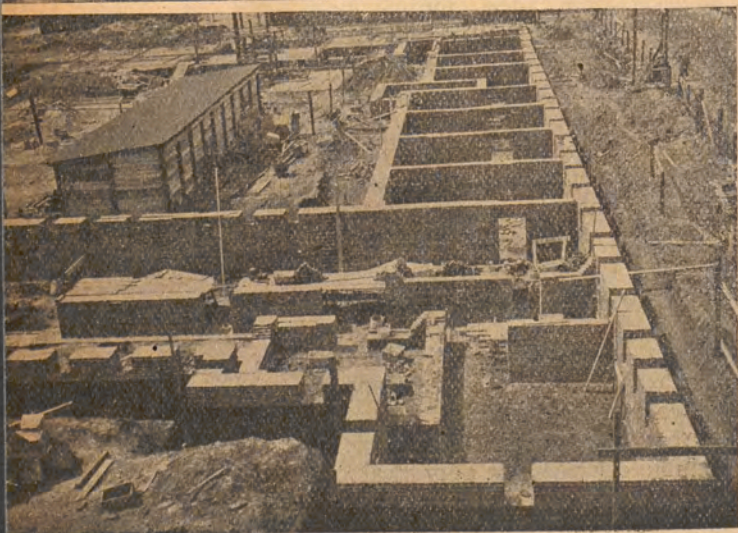


## Wspomnienie.

Jako murarz, który od dziesięciu lat przy budowach Spółdzielni pracuję, chcę wspomnieniami z tego dziesiątka lat z towarzyszymi się podzielić.

W 1925 roku w zimie, jak i wielu innych towarzyszy roboty nie miałem. Fundusz Bezrobocia, kartę mi dał, zasiłek od czasu do czasu płaci, ale nie wiele, bom kawalerem był. Aż tu niespodzianie robota jest. Na Żoliborzu. Pustynia straszna, że tylko uważaj, czy wilków niema. Że zima zaciężka nie

była, więc robota z przerwami coprawda, jako tako szła. W pierwszych dniach marca przygrzało nieźle, więc i pełnymi tygodniami robota ruszyła. Do pół lata dom stoi i dach zaczęli kłaść. W tym czasie ożywiło się w okolicy i budowy również ruszyły. Obok Spółdzielni rozpoczęli budowę Sp-ni Akord, a że był gwałt, chcieli mieć mury na zimę pod dachem, szukali robotników do roboty w akord. Ano, jak Akord, to akord. Poszedłem w tę muzykę.



Do zimy szło dobrze. Później zaczęło się psuć. Coś tam felerowało. Dość, że robota stanęła. Odpocząłem trochę. Urlop należał się, chociażby bezpłatny. Ponieważ spaceruję lubię, a na Żoliborzu ładnie, zimą zwłaszcza, wędrowałem często tam, a że natura murarza do budowy ciągnie, więc ztem obserwowałem naszą Spółdzielnię, w której pierwsze mieszkania wykańczali. Ale roboty dla mnie jeszcze nie było. Dopiero na wiosnę zacząłem się znowu i od tej pory przez Gogóła i S.P.B. trafiłem do administracji Osiedla, gdzie podziś dzień tkwią, różne partaniny łatać i dziury wszelakie zalepiam.

Czem jest Spółdzielnia zacząłem pojmować, w dniu, w którym zobaczyłem szyld z dziwnymi słowami: „Los Osiedli Robotniczych zależy od samych robotników“. Napis ten obudził we mnie chęć poznania celów i dążeń Spółdzielni. Zacząłem interesować się bliżej sprawami Spółdzielni i od tej chwili zdecydowałem się zostać jej członkiem.

Zamieszkałem w Osiedlu w parę lat później, kiedy oddawano pierwszą serię małych mieszkań w V-tej kolonii. W ślad za mną członkowie mojej rodziny i liczna gromada znajomych, zazdroszcząca mi mieszkania, stała się lokatorami, następnie oddawanych przez Spółdzielnię półtoraizbówek i dwuizbówek.

Jeśli wspominać warunki w jakich przedtem mieszkałem ja i moi towarzysze, to widzę ciemne ponure izby, w suterrenach lub na poddaszach wielopiętrowych kamienic, gdzie brać robotnicza słończona w wilgotnych pojedynczych izbach dusi się w dalszym ciągu, bo kulturalne, higieniczne mieszkania są dopiero udziałem bardzo nielicznej gromadki robotniczej. Jasne, słoneczne mieszkania, przed oknami zieleń, cisza przerywana tylko wesołymi okrzykami dzieciaków, w słońcu, na powietrzu cały dzień spędzających.

Wieczór po ciężkiej pracy wypełniony książką, gazetą, odczytem lub koncertem — to odpoczynek, jaki robotnik w Spółdzielni znajdzie.

Mogę powiedzieć o sobie i o innych, że to otoczenie, w jakim żyjemy, usunęło zupełnie, a właściwie zredukowało do minimum, dawną tradycję sobotnią — „Popijochy“. Tutaj chłop się wstydzi być zalanym, bo to jakoś całkiem nie to co dawniej. Dlatego tych wypadków prawie nie widzimy.

Troska Spółdzielni o pracę dla swych członków, od kilku lat daje takie wyniki, że w okresie sezonu robotnika budowlanego bez pracy w Osiedlu nie znajdziesz, a w okresie zimowym masz znowu: pomoc doraźną, ulgi w szkole i przedszkolu dla dzieci i ich dożywianie — słowem zrobiono już wiele, ale jeszcze więcej zrobić należy, by obecna gromadka robotników, spółdzielców — gromada się stała.

Jako członek tej rodziny spółdzielczej, który nauczył się wspólną sprawę Spółdzielni uważać za drogą Rzecz, chcę kilka uwag, jako fachowiec, od siebie na zakończenie dorzucić.

Działalność budowlana przed dziesięciu laty i dziś to duży postęp, zwłaszcza przy organizacji pracy. Oczywiście inaczej być nie może, gdyż inne przedsięwzięcia budowlane nie gorzej pracują. Myślę tylko, że naszej Spółdzielni nie całkiem na zdrowie wyszły doświadczenia panów architektów z temi dachami na III-ej i IV kolonii. W piątce też ten



daszek na budynku B coś wydaje mi się podejrzany. Mam trochę pretensji również o te ciągle wyłączenie futryn drzwiowych. Ciągłe to samo. Co jest? Przy piątce mówili, że to się nie powtórzy. Przy siódemce — powtórzyło się. Ma się nie powtórzyć na Rakowcu... Ano, zobaczymy. Coś wydaje mi się... Powtórzy się.

Również niebardzo wiem dlaczego takie galerje w kolonji VII-ej B na I-em i II-em piętrze

i w VIII-ej na parterze nie są otwarte u dołu, jak na przykład w kolonji IV-ej C lub w domu ZUPU, Mickiewicza 27. Przez to ani utrzymać galerji czy-sto nie można, zwłaszcza w zimie, a przy zamarznięciu spływów woda na balkonie stać będzie.

Miałbym jeszcze innych pretensyj coś nie coś, ale chyba zaczekam do następnego dziesięciolecia. Może już wtedy — nic nie powiem.

Aleksander Rakowski.

## GŁOS MAJĄ PIERWSI MIESZKAŃCY

### W. S. M. buduje!

„W. S. M. będzie budować mieszkania“! Zdanie to dziś jeszcze wśród wszystkich żywych członków Spółdzielni wywołuje pewne wzruszenie i dumę: a więc nowe wysiłki, by zrobić krok naprzód po drodze do wytyczonych celów.

Zgoła inne efekty wywołała wieść taka w owych zamierzonych czasach, gdy powstawała nasza placówka. Tromtadracja, przechwałki, niedojrzały eksperyment i t. p. określenia nie należały do kalibru najcięższego. I nie dziwimy się: doświadczenie wskazywało, że wiele spółdzielni budowlanych, prowadzonych przez ludzi z ulicy, bankrutowało przed wybudowaniem domów, a jeśli już domy powstawały, to wyłącznie dla grupy członków, mających najszerze plecy i najsilniejsze łokcie. Obiektywne warunki, w których znajdowała się wówczas klasa pracująca, także nie wróżyły nic dobrego. Morze nienawiści kołtunerji i drobnomieszczactwa, przykre doświadczenie z organizacjami gospodarczymi klasy pracującej, konieczność zaangażowania się w dość duże obowiązki płatnicze, niedocenywanie kwestji mieszkania przez szerszy ogół robotniczy, obawy czy mieszkania wogóle powstaną, a jeśli nawet wybuduje się ich pewną (napewno niewielką) ilość, to dostać się będą doń mogli tylko patrycjuszki ruchu: dla szarego człowieka winogrona te będą wisiały zawysoko.

Przyznaję, że gdy przystępowałem w r. 1923 do W. S. M., te wszystkie obiekcje przychodziły mi do głowy. Zdecydowałem się jednak zostać członkiem, wychodząc z założenia, że każdy nowy twór czy wysiłek klasy pracującej winien być poparty; nawet niepowodzenia, wskutek małego uświadomienia są mniejszym złem, niż bezruch, który byłby świadectwem nieudolności i brakiem odwagi w próbach realizacji hasła: „my nowe życie stworzymy sami“.

\*\*

Na pierwszym zebraniu przydziału mieszkań zostałem wybrany członkiem komisji, powołanej do sprawdzenia podanych przez kandydatów danych o warunkach mieszkaniowych. W owych czasach komisja musiała poświęcać tej sprawie wiele czasu: trzeba było obejść wszystkie mieszkania, zbadać ich stan, stwierdzić wiele osób mieszka i t. p. Otrzymanie mieszkania w W. S. M. było wtedy wielką

wygraną w konkursie punktów. Odstępne w starych domach, było wysokie, ponad siły przeciętnego człowieka pracy; ubiegających się o mieszkania było więcej, niż mieszkań; nietylko członkowie, ale i nieco szerszy ogół bacznie śledził, czy nie będą robione przy przydziale jakieś „machlojki“.

A chęci po temu były. Wacław Lenga, ówczesny członek Rady Nadzorczej W. S. M., zwracał się do mnie, dowodząc, że regulamin przydziału mieszkań jest ważny, ale stokroć ważniejsze jest dla klasy pracującej aby mieszkania zajęli ludzie „czynni w ruchu robotniczym“. Oczywiście, jaknajbardziej kategorycznie oświadczyłem, że taki pogląd będę jako członek Komisji jaknajostrzej zwalczał. Z przyjemnością też stwierdzam, że Komisja w pracach swoich kierowała się wyłącznie uczciwym stosowaniem regulaminu. Nie było wypadku, by kandydat, który nie otrzymał mieszkania, żywił podejrzenia, że został skrzywdzony. Był to pierwszy krok do pozyskania zaufania, o którego pełne zdobycie długo jeszcze Spółdzielnia musiała walczyć.

\*\*

Spółdzielnia założyła kamień węgielny! Za rok będzie pierwsza partja mieszkań! Buduje się dom! Naprawdę się buduje! Wybudowano już do I-go piętra! Kładzie się dach! Naprawdę będzie to pierwsza partja mieszkań! Fakty te, jak iskry elektryczne, pobudzały nadzieje, wprowadzając anarchję w utarty tryb życia.

Od jesieni 1922 r. mieszkam w Sulejówku. W pierwszym okresie czasu było mi tam nawet dobrze! Ale wkrótce poczułem, że właściwie z całą rodziną jestem odcięty od świata. Prowadziło się istotnie pierwotny tryb życia. W miarę, jak wznosiła się budowa W. S. M., Sulejówek stawał się coraz bardziej ciężącą zmorą. To też pytanie, czy dostanę mieszkanie — już od października 1926 roku było w moim osobistym życiu zagadnieniem dominującym nad wszystkimi innymi.

I dostałem! Rozpoczęła się nowa, na szczęście krótkotrwała męka oczekiwania, kiedy nareszcie będzie można się wprowadzić.

Uroczystość wręczenia kluczy, które, o ironjo, po uroczystości trzeba było zwrócić! Wreszcie — można się wprowadzać, ale lepiej jeszcze trochę poczekać! W końcu stycznia 1927 r. wprowadziłem się.

Platforma, wynajęta w Warszawie, miała przybyć po meble na godzinę szóstą rano. Wstaliśmy więc już o piątej, by ukończyć pakowanie. Jedną oczekiwaliśmy aż do drugiej po południu. Po załadowaniu rzeczy pojechaliśmy pociągiem: żona z synem na nowe mieszkanie, a ja na dworzec Wileński, gdzie czekałem na platformę do godz. dziewiątej wieczorem. Jak się bowiem okazało później, woźnice na nieszczęście mieli znajomych w Rembertowie, których jadąc do Sulejówka i spowrotem, odwiedzili dla należytego „pokrępienia” sił. Nic tedy dziwnego, że na Żoliborz przyjechaliśmy późnym wieczorem. Na domiar złego, pojechaliśmy od hotelu naprzelaj: wóz ugrzązł w błocie po osie tak, że trzeba było część mebli zdejmować.

Ale w końcu dobrnęliśmy! A w domu czarna rozpacz na wesoło: układa się właśnie syna do snu w wannie na dostarczonej przez tow. Zdanowską pościeli. Ale jak tu spać skoro taki groźny kran zwisa nad wanną? Już o północy można było iść spać w ciepłym i mile pachnącem świeżością farb mieszkaniu.

\*\*

## Tak niedawno...

Wspomnienia moje, dotyczące się powstania Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, sięgają czasów — można śmiało powiedzieć — legendarnych. Bo wówczas jeszcze Żoliborz był krainą pustynną, a tylko duch organizacyjny kilku towarzyszków unosił się nad polami i dołami, błędząc między nasypem kolejowym a małymi drewniakami Marymontu, wybierając, planując i marząc o wznoszeniu gmachów dla robotników... na które znikąd nie było ani groszka...

W roku 1924 byłem członkiem Prezydium War-

Co za rozkosz: tramwaj chodzi co pół godziny. Znając rozkład, można akurat trafić! Czasem z niewieszonym językiem trzeba gnać do hotelu, żeby go jeszcze złapać! Ale za to co pół godziny już można jechać do miasta.

Gorzej z ulicami! Są to prawdziwe bajory! Wprawdzie Spółdzielnia położyła drewniane chodniki, jednak uginają się one, pogrążając stopy przechodnia nieraz po kostki w wodzie. A poza tym od czasu do czasu kawałki chodnika giną: przydają się komuś z poza Spółdzielni na opał. Ale któżby sobie co z tego robił, Przecież to za kilka lat się zmieni!

Wracałem późną nocą na piechotę z tow. Zdanowskim. Dla skrócenia drogi, ponieważ mocno podeschło, poszliśmy od hotelu naprzelaj. I drogę skróciliśmy, ale przebywaliśmy ją przeszło pół godziny, przyczem ja swoje kalosze przyniosłem pod pachą. A gliną umazaliśmy się do kolan.

Jak mi dziś Rakowiczanie skarżą się na złe doście, przyznaję im szczerze rację, ale my mieliśmy... znacznie gorzej.

M. Nowicki.

## NOC JUBILEUSZOWA MASONÓW

**Motto:** Prasa tak zw. narodowa donosi coraz bardziej alarmująco o tajemniczych nocnych naradach masonów na Żoliborzu.

Zakonspirowali się. Pobudowali gmachy pod pozorem akcji społeczno - utylitarystycznej. Wiemy, co to ma znaczyć. Od dziesięciu lat prowadzą destrukcyjną robotę. Jedni piszą wiersze, inni palą węglem pod kotłami centralnego ogrzewania, lub zgoła zwalczają pluskwy i ucząją dzieci.

Tak zwana W. S. M. (czytaj Wschodnie Stowarzyszenie Masonów) jest centralą ich działań. Udało nam się drogą konfidencjonalną wydostać zwierzenia jednego z najstarszych członków tej fałszywie zwanej Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Opisuje je ktoś. I o kimś. Więcej podać nie możemy.

Przeczytajcie tylko:

Szukałem go telefonicznie i telewizyjnie, przez radio, przez jasnowidzów, gońców, przyjaciół i przez kormornika. Wszystko napróżno.

Nie było go w Radzie Zawodowej, ani w Komisji Centralnej, ani w sklepie z fajkami, ani w Monopolu Tytoniowym, ani na księżycu. W każdym miejscu „właśnie przed chwilą był i wyszedł”, albo „za chwilę będzie”. Wiadomo: działacz społeczny.

Już chciałem udać się do świętego Antoniego, który jest głównym niebiańskim detektywem od zgubionych i straconych — kiedy tuż przed administracją W. S. M. ujrzałem jego ducha. Była północ. Ja byłem w oryginale — a on bardzo mgławicowy. Jakiż może być duch wyznawcy materializmu dziejowego?

— Witam cię.

I t. d. — rzekłem (naturalnie do rymu).

Duch pyknął z fajki milcząco i do pewnego stopnia problematycznie.

— Cholera — zagadnałem ogólnie, aby zagać rozmowę. — Psiakrew — dodałem po chwili.

A on nic. Każdy tutaj domyśliłby się, że wyrażam w sposób skondensowany własny pogląd na najaktualniejsze sprawy społeczne w ogólności.

— Czy, że tak powiem, nie tego? — zapytałem tym razem konkretnie.

wińskiego na temat budownictwa mieszkań robotniczych. Referent przybył. Projekty Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej podobały się zebranym — Wydział Rady ustosunkował się do nich przychylnie, choć bez zbytniej wiary w możliwość zrealizowania. Mimo to Prezydium Warszawskiej Rady Związków Zawodowych postanowiło poprzeć te zamiary u władz zarówno miejskich jak i państwowych.

Na tym momencie prawdopodobnie kończą się dzieje legendarne W. S. M., a Spółdzielnia wchodzi w stadium realniejsze. Dotychczas bowiem, jak niektórzy żartobliwie określali, Spółdzielnia znajdowała się w kieszonce od kamizelki u jej propagatora. Poparcie przez Warszawską Radę Związków Zawodowych zamierzeń projektodawców umożliwiło uzyskanie kredytów, a więc projekt przyoblekł się w kształty realne.

Po jakimś czasie dowiedziałem się, że organizowanie Spółdzielni posunęło się już tak, że zaczynają zbierać raty 10-złotowe na udziały. Wobec tego, że po powrocie z przymusowego wyjazdu zamieszkiwałem prowizorycznie na Pradze w mieszkaniu nieodpowiednim, więc chętnie zapisałem się na członka.

Od chwili zapoznania się z projektem i w dalszym ciągu już jako członek interesowałem się przebiegiem wszystkich prac Zarządu Spółdzielni. A więc, gdy w grudniu roku 1925 rozpoczęto roboty i odbyła się uroczystość założenia kamienia węgielnego, pod pierwszą kolonję, nie zważając na śnieg i słońce, wraz z żoną przyjechaliśmy w te pustkowia, aby uczestniczyć przy tym radosnym dla nas akcie. A niezbyt wielu towarzyszków wówczas zdecydowało się na ten wyjazd, bo zaledwie zebrała się grupka kilkunastu osób.

W ciągu budowy pierwszej części I kolonji przyjeżdżałem z żoną i z synem oglądać postępy robót, chodząc po rusztowaniach i z zainteresowaniem

ogłędając, a często domyślając się dopiero, jak to czy inne mieszkanie wyglądać będzie. Czynielem to zresztą i inni pierwsi kandydaci na mieszkańców.

Propagandę Spółdzielni do zawodu drukarskiego wniosłem pierwszy, a zaraz drugim drukarzem — członkiem został tow. A. Burkot. A dziś W. S. M. liczy już kilkudziesięciu członków drukarzy.

Wreszcie nadszedł moment upragniony wprowadzenia się do mieszkań pierwszej części I kolonji. Był to styczeń r. 1927. Ponieważ mieszkania były zbyt świeże, więc wolałem odczekać aż ściany przeschną, więc, płacąc od stycznia, wprowadziłem się dopiero w dniu 1-ym marca, tembardziej, że uzyskane mieszkanie było pomalowane zbyt szablonowo, a ja chciałem mieć coś ładniejszego, więc tenże malarz, który malował wszystko, u mnie pomalował na żądane kolory i desenie — wolałem czekać.

Jak wówczas wyglądał Żoliborz?...

Na początku wspomniałem, że było to pustkowie w całym tego słowa znaczeniu. Na trasie Piętnastki, która podobno dopiero zaczęła chodzić do Marymontu od r. 1924, po prawej stał jedynie hotel oficerski, poza nim zaczątki ulicy Czarnieckiego i Śmiałej Po lewej, w oddali, domki Żoliborza urzędniczego. Reszta to pustkowie bez dróg, bez chodników, bez światła. Głina. Stare forty. Rumowiska. Doły. I przestrzeń, jak okiem sięgnąć, aż pod Marymont.

Szczęśliwy mieszkańcu dzisiejszego Żoliborza, jakże odmiennym go teraz widzisz od owych czasów!...

Mimo niektóre niewygodny początkowego zamieszkiwania, jednak Żoliborz miał wówczas swój urok, który stopniowo zanika. Bo oto z obydwóch stron mieszkania piękny widok na pola, na ruiny fortów, na Wisłę — niczem nie zastąpiony — oko błędziło swobodnie po pustej przestrzeni... Człowiek, który siedzi wiecznie między murami, doznawał nieopisaną rozkosz widoku odkrytych hory-

W odpowiedzi duch poruszył symbolicznie dużym palcem lewej nogi.

Zrozumiałem. Przymrużyłem zlekka prawe oko i wypiąłem lewą pierś. Duch weterana ożywił się. Zaczęliśmy rozmowę o Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Z podwojenia ilości palców u prawej jego dłoni dowiedziałem się, ile lat tu mieszka. Z ilości wszystkich innych palców — ile lat ma zamiar jeszcze tu mieszkać. Obie cyfry były parzyste.

— A potem?

Duch położył palec pomiędzy wąsy, a fajkę. Dla podkreślenia wagi tej decyzji poruszył brodawką na tak zwany wzgórek łonowym.

— Dobrze — pomyślałem sobie. — Ja także jestem pewny, że za szesnaście lat będzie inaczej. Przybliży twarz — niech się przekonam, jak na obliczu twojem rysuje się historia dziesięcioletnich prac i trudów, odbita, jak w lustrze.

Ten kołnierzyk — to działalność pralni spółdzielczej. Krótko przystrzyżone wąsy — to symbol zieleńców i

grządek kwiatowych na dziedzińcach poszczególnych kolonij. Długie włosy — to długi w B. G. K. Wypadną kolonij. Ho, ho! Od A do Z!

Duch uśmiechnął się. Jego to inicjały...

— A życie świadome — jak? Spytałem, pełen niepokojem o najbliższych.

Dym z fajki układał się w jakieś nazwiska, cyfry, adresy. Milczałem, skupiając resztki instynktu samozachowawczego i lęk.

A kiedy duch siadł i zaczął bezradnie przebierać nogami, pojąłem, że to dyskusja o sąsiadach i lokatorach. Wiatr szumiał. Szum przechodził w huk, stuk, trzepanie, miauczenie kotów.

Z mroku wyszło ku nas dziecię. Biednie było odziane, ale miłe. Miało tak dziwną twarz, że poznawało się w niej rysy tyłu znajomych...

To „Życie W. S. M.“...

Obniżyliśmy głowę obaj. Oby tak nam obniżono komorne...

E. Sz.

(terminator masoński)

zontów... A jeżeli mowa o przestrzeni, to znaczy, że jest powietrze, powietrze wolne od dymów kominowych, wolne od kurzu ulicznego, bez zaduchów miejskich. Cisza — błoga cisza po turkocie i rozgwarze miejskim... Cisza i pustka... Kto nie mieszkał wówczas na Żoliborzu, ten już dziś tych rozkoszy nie doznaje; choć i dziś Żoliborz a środek miasta, to kolosalna różnica powietrza i ciszy...

Była więc cisza i pustka. Jednakże przeważna część mieszkańców I kolonii niezbyt dowierzała tej rozkosznej ciszy i pustce, szczególnie w porze wieczornej i nocnej. Obawa przed tą pustką. Przed... napaścią... strach miał wielkie oczy... W sferach drukarskich utarł się żart, że nocą po Żoliborzu, jak w dżungli, harcują... tygrysy...

Dla mnie ta cisza i ta pustka były urokiem Żoliborza. Z charakteru swojej pracy społecznej często zdarzało mi się, że po posiedzeniu lub zebraniu spóźniłem się na ostatni tramwaj (nocnych nie było). Wracam pieszo... Lubię chodzić. — Nie rozumiem strachu... Idę...

Noc... Plac Broni, pusty, nieoświetlony... śnieg chrupie, obok fort Traugutta (dawniej Aleksieja — stary znajomy — siedziałem w nim około miesiąca w r. 1908), pustka... Przejście nad koleją — wąska drewniana dróżka długości 150 mtr. między drutami kolczastymi Małpiego Gaju — poszum drzew... cisza... Cytadela... Idę... A dalej już niezmiernie pole aż do Marymontu, pole piękne, białe od śniegu, brylanty śnieżne lśnią w poświacie księżyca. — Cisza... Uroczno... Zdala, ledwie dostrzegalne, błyszczą jeszcze niektóre okna I kolonii. Rozkoszuję się pięknym widokiem białego śniegu, przestworzem pola i srebrem księżyca. Mijam zlewa rozwaliny opuszczonego fortu... mijam dalej sprawa (dziś Plac Inwalidów) znowu ruiny starego fortu... Maszeruję i dumam... wreszcie podchodzę do miejsca, gdzie dziś Park Żeromskiego, wówczas jeszcze pole... tam znowu stary w stanie rozbiórki fort, przed nim kawał śnieżnego pola. Podziwiam przedemną samotny dom I kolonii. Zadowolony jestem ze spaceru.

W tym trakcie z pod fortu (dziś Park Żeromskiego) z prawej wyłania się sylwetka — widzę go dobrze na białym tle pola — idzie przez pole w kierunku przecinającym moją drogę... w ręku trzyma grubą łaskę... Obserwuję jego ruchy i myślę: wróg

czy nie... Ja jeden, on też jeden... on z grubą łachą, ja bez... szanse równe...

Żoliborski tygrys?... — Opryszek?...

Wreszcie drogi nasze schodzą się... On zdala o jakieś 20 kroków woła do mnie:

— Proszę pana, a która teraz jest godzina?...

Oho!...

Zatrzymuję się, spokojnie rozpinam futro, wyciągam zegarek i odpowiadam:

— Pół do pierwszej. — A pan co tu robi o tej godzinie?

— A ja tu jestem z tego fortu... jestem dozorcą tych wózków, łopat i różnych narzędzi. Jest nas dwóch na zmiany: jeden pilnuje od godziny 8 rano do godziny 8 wieczór, a ja od 8 wieczór do 8 rano...

— A pan dokąd idzie — do Marymontu? — on pyta.

— Nie, ja tu do tego domu, co go widać.

— A może pan mnie odwiedzi, zobaczy pan, że tam jest czego pilnować... tyle różnego sprzętu potrzebnego do rozbierania tego fortu... niech pan pozwoli...

Okazja nielada... pora do odwiedzin akurat... Poszedłem!

Idziemy białym polem ku górze fortowej, rozmawiamy. Objaśniam go, co to za dom, w którym mieszkam. Rozmawiając, dochodzimy do zwalisk... Wprowadza mnie do swojej lepianki, zaprasza siedzieć, siadam, rozglądam się. Na kominku pali się ogień... garnuszek. Rozmawiamy. Oglądam magazyn narzędzi. Mój „zbój” chce mnie nagwałt częstować herbata — ledwie się wymówiłem, taki był gościnnie.

Po półgodzinnym pobycie na interesującej wizycie, żegnamy się, życząc sobie wszystkiego dobrego. Uprzejmy gospodarz wskazuje mi jak przechodzić, wyraża zadowolenie, że go odwiedziłem. Wychodzę na śnieżne pole...

Opuściłem jaskinię... tygrysa... żoliborskiego!

Stopniowo Żoliborz zaludniał się. Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa wznosiła gmach za gmachem — inne domy też szybko wyrastały: ulice, chodniki, latarnie, tramwaje i wkrótce zniknęły już dalekie widoki z okien... Prerja żoliborska zamieniła się w ładne miasteczko. Tygrysy już nie biegają...

Adam Witkowski.

## Zamieszkałem pod trzynastką

Należałem do tych, którym brak mieszkania mocno dolegał. W końcu roku 1924 zapisałem się do W. S. M. Płaciłem raty na udział i wzdychałem, kiedy to otrzymam mieszkanie i jakie. Obiecywano, że niedługo. Aż wreszcie na początku grudnia 1925 roku otrzymałem zawiadomienie, że 12-go grudnia odbędzie się uroczyste założenie kamienia węgielnego pierwszego budynku W. S. M.

W oznaczonym czasie z żoną udałem się na tę z wielkim upragnieniem oczekiwaną uroczystość. Teren był mi nieznany. Pustka nie zadziwiła. Byłem na nią przygotowany. Jakoś trafiłem na miejsce

dzięki posterunkom, rozstawionym przez Zarząd W. S. M.

Na miejscu spotkałem zaś około 30 osób, wśród nich sporo znajomych towarzyszy z różnych działów życia robotniczego, między innymi tow. tow. Tołwińskiego, Siedleckiego.

Pogoda była pochmurna, wiatr zimny, dość przejmujący. Na około puste pola, — ciągnące się od Wisły do Miasteczka, od Marymontu do Hotelu. Stary fort i 2 domki oficcerskie stanowiły jakieś oparcie dla oka, a linja tramwajowa jedyny łącznik ze światem.

Zaczątki fundamentów przedstawiały się bardzo, ale to bardzo skromnie. Kilka metrów wysokiego i dość płytkiego rowu były zalążkiem dzisiejszych kilkunastu wielkich kamienic. Nie myślałem wówczas o tem, jak się W. S. M. rozwinie, choć mó-



wiono nam z wiarą o tych perspektywach. W myślach stało mi pytanie, kiedy to otrzymam mieszkanie. Uroczystość była bardzo skromna. Przemówienia, podpisywania aktu erekcyjnego. Zresztą wiatr ostudzał najgorętszych. Z uczuciem ulgi powitałem chwilę zakończenia uroczystości i możliwość powrotu do domu.

Ale zato na wiosnę rozpoczęły się wędrówki do obiecanego locum. Pierwsza odbyła się, jak tylko się ociepliło. Zobaczyliśmy już fundamenty. Z rozkładu i wielkości piwnic określiliśmy wielkość pokoiów. Potem, gdy rozpoczęto budowę parteru, oglądaliśmy już naprawdę wielkość, rozkład mieszkania, rozmieszczenie okien, klatek schodowych i t. p. Badaliśmy, jak dużo słońca będzie. Byłem na budowie naprawdę kilkanaście razy; latem to była zamiejska wycieczka. Śledziłem uradowany wzrost domu. Pamiętam, że jakaś przerwa w budowie zaniepokoiła mnie, całe szczęście, że na krótko. Gdy dom stanął pod dachem, jeździliśmy we czworo wybierać lokal.

Postanowiłem wybrać 2-gie piętro w I klatce, bo tam były największe. Z pół pokoju, z ciasnoty pra-

gnąłem od razu mieć duże locum, o kosztach, o meblach nie myślałem. Najpierw locum, a potem inne rzeczy. Doczekałem się wreszcie przydziału mieszkań. No i wybrałem Nr. 13 na 2-giem piętrze w H klatce.

Pamiętam, że z dumą pokazywałem swoje apartamentu jednemu znajomemu redaktorowi, który przybył na uroczystość oddania kluczy, a zarazem na publiczny pokaz wybudowanego domu i jego urządzeń. Oprowadziłem go po całym apartamencie, zachwalając każdy szczegół. Gdy on wyraził swój szczerzy zachwyt, z dumą mu oznajmiłem, że to moje, mnie przydzielone mieszkanie, że przyjmuję w charakterze gospodarza. Z rozrzewnieniem winał mi.

Było pustkowiem... A dziś po dziesięciu latach wyrosło piękne miasto.

\*\*

Wielką troską pierwszych mieszkańców W. S. M. była aprowizacja. Naokoło pustka i brak już nie ulic ale dróg. Fort, sąsiadujący z pierwszą kolonią rozkopywano; glinę z fortu rozwożono dosłownie wszędzie. Po deszczach ślisko, grząsko, przejść trudno. A trzeba było chodzić do Hotelu — naokoło, t. j. od ulicy, którą przejeżdżał tramwaj, gdyż tam w razie błota było najmożliwsze przejście; drugie miejsce nabywania produktów — to była Spółdzielnia na Żoliborzu urzędniczym, mająca te same przeszkody drogowe; trzecią trasą zaopatrywania był Marymont, ulica Marji Kazimiery. Przy pogodzie, to jeszcze powiedzmy — mały spacer z pakunkami. Ale podczas wiosennych i jesiennych deszczów to była prawdziwa mordęga. Raz żona moja, idąc ul. Mickiewicza z Hotelu do domu, webrnęła w tak rozmokłą glinę, że nóg z niej wydobyć nie mogła. Aż jakiś przechodzień, robotnik, pomógł jej wyjść na twardszy teren.

Wielką ulgę, a sobie zarobek, przyniósł jakiś pomysły mieszkaniec Marymontu. Co rano przywoził świeże pieczywo. Było używanie. Potem mleko dostawali.

To też, gdy wybudowano drugą część pierwszej kolonii i Warszawska Spółdzielnia Spożywców otworzyła swój sklep — gospodynie odetchnęły! Skończyły się codzienne wędrówki po błocie!

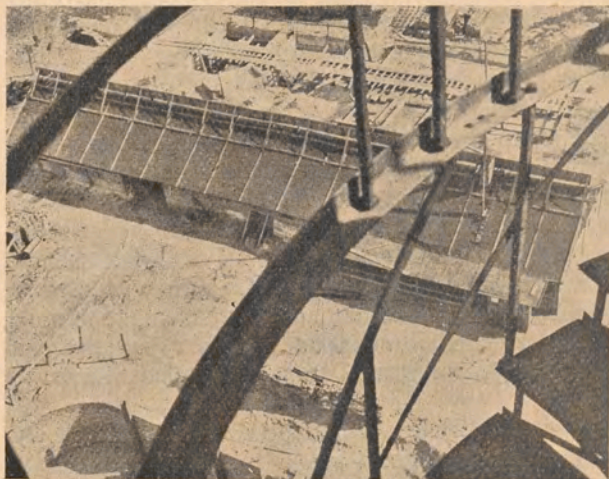
A. Burkot.

## Z dziennika lokatora

Koniec roku 1926. Grudzień. Niedziela. Na śnieżnej płaszczyźnie od Żoliborza Oficerskiego do Marymontu widać niewielki budynek. To... I kolonia. Od przystanku tramwajowego 15-ki w kierunku nowoukończonego budynku z trudem brodzi w śniegu gromadka ludzi. To przyszli lokatorzy: zjechali z Warszawy i jej okolic aby zobaczyć jak prędko będzie można zamieszkać. Na podwórku kilka osób z ożywieniem przedkłada kierownikowi budowy mnóstwo życzeń i uwag odnośnie wykończenia ich mieszkań. Wreszcie mam możliwość i ja poinformować się o stanie przyznanego mi lokalu. Niestety, wykończenie mojego mieszkania opóźni-

się, gdyż klatka schodowa jeszcze nie gotowa. Za jakieś 2—3 tygodnie będzie możliwe zamieszkanie. Ano trudno. Trzeba jeszcze czekać.

Następne niedziela. Przyszli lokatorzy w komplecie stawili się na wezwanie Zarządu Spółdzielni. Dzień bardzo uroczysty. Oglądamy I serię wykończonych mieszkań. Mieszkania czyściutkie, ciepłe, przytulne, a przytem wygody, jak kanalizacja, wanny, elektryczność, gaz. Z zazdrością się myśli o tych szczęśliwcach z I klatki schodowej, co już od jutra mogą się wprowadzić. A ja jeszcze conajmniej 2 tygodnie muszę mieszkać w Aninie, zanim te rozkosze staną się dostępne i dla mnie.



Styczeń 1927 r. Już mieszkamy. Po uporaniu się z nieporządkami, wywołanymi przeprowadzką zaczynamy oswajać się z odmiennymi od poprzednich warunkami. Życie wydaje się całkiem inne, gdy do pracy można wyruszać na pół godziny przed jej rozpoczęciem, nie jak dawniej przeszło na dwie godziny. Również powrót do domu. Zmartwienia z powodu niemożności dostatecznego ogrzania mieszkania ustały. Ciepło przez całą dobę, chwilami za gorąco. Trzeba się do tego ciepła przyzwyczaić. Kąpiel w mieszkaniu dostępna o każdej porze staje się przedmiotem zazdrości kolegów i znajomych, których gorąco namawiam, by zostali członkami Spółdzielni. Chętnych jest wielu, zwłaszcza po namocnym przekonaniu się, że rzeczywiście człowiek pracy ma możliwość mieszkania w tak kulturalnych warunkach. Zasady przydziału i wynajmu mieszka-

nia w Spółdzielni są dostosowane właśnie do tych niewielkich zarobków przeciętnego robotnika, czy też urzędnika.

Luty 1927 rok. Znamy się już wszyscy b. dobrze. Stosunki sąsiedzkie między lokatorami nieomal przyjacielskie. Jak dotąd żadnego nieporozumienia nawet między naszymi paniami nie było. Oby tak było zawsze. Przed kilku dniami odbyło się zebranie organizacyjne Stowarzyszenia „Szklane Domy”. Na członków Stowarzyszenia zapisali się wszyscy co do jednego lokatorzy, a oprócz nich wielu członków rodzin.

Marzec 1927 r. Nadzieje na wieczną przyjaźń sąsiedzką w tym miesiącu trochę zawiodły. Niby rzeczy błahe, ale bardzo nieprzyjemne. W pierwszej sprawie poszło właściwie o nic, bo przecież to, że ob. X zabrał z góry o kilkanaście metrów więcej nieswojego sznura do wieszania bielizny, nie było dostatecznym powodem do godzinnego referatu na na schodach i w następstwie potem tygodniowej chrypki referentki, jako że akustyka na klatce schodowej jest ciężka, wskutek czego krzyczeć trudno. Sznur się znalazł, a że go chwilowo nie było, to tylko dlatego, że był bardzo podobny. Ot i wszystko.

Gorzej już znacznie sprawa się przedstawia z tą zabawą w ubiegłą sobotę, gdyż okazało się, że niektóre mieszkania są mniejsze od gościnności gospodarzy, wskutek czego rozmowa osobista ich biesiadników z konieczności musiała się odbyć na podwórzu, a już zapewne nieodpowiednie warunki atmosferyczne sprawiły, że różnica zdań doprowadziła do zbyt głośnego i bolesnego formułowania wymienianych wzajemnie poglądów. Dyskusję z trudem przerwał przedstawiciel Administracji.

## A ILU ROBOTNIKÓW ZAMIESZKUJE WŁAŚCIWIE...?

— Nie widzieliście jeszcze nigdy pierwszego maja u nas? Zazdroścę wam. To jest przeżycie. Tylko u nas można zobaczyć co to jest prawdziwe robotnicze święto.

Słowa te wywoływały wizję wielkich tłumów pracy pod czerwonymi sztandarami. Wizję zwartych szeregów, kroczących w nieskończoność, wijących się szeroką falą zwycięskiej rzeki. Olbrzymią pieśń, płynącą z setek tysięcy piersi.

— A ilu robotników zamieszkuje właściwie w Oazie?

Z otwartych drzwi powiało falą chłodu. Nikt nie odpowiedział na to pytanie. Wyszli na taras.

Całe osiedle leżało przed nimi, jak na dłoni. Z rozdrobnionej, bezbarwnej masy przedmiejskich ruder dźwigały się szerokim łukiem białe bloki, płonące krzepkiem światłem, sączącymi się z ogromnych okien. W rojowisku nikłych lampek tamtych, dalekich domków, odcięte półkołem ulicznych latarni wznosiły się nad miastem tworząc w tej robotniczej dzielnicy samotną wyspę, rozległą, potężną oazę. W głębokim nasyconym mroku wieczoru sylwety domów stały wyolbrzymione i masywne. Krzewy na dziedzińcach robiły wrażenie zgar-

bionych karłów, znieruchomiałych w jakiejś tajemniczej zabawie. Przerżnięte wśród nich ścieżki rozciapierały się na wszystkie strony prostopadle, jak widziane z samolotu linie kolejowe. Młode drzewa parku wyciągały w górę nawpół nagie ramiona, fałtujące lekko pod wiewem nieodczuwalnego wiatru. Głęboko poza nimi tafła wody połyskiwała matową czerwienią, odbijając w sobie wyniosłe światło reflektorowe, oświetlające sztandar na górującym nad wszystkim kominie centralnej kotłowni. Sztandar drgał, jak żywy stwór nasycony krwią. Robiło wrażenie, że to on właśnie oświetla cały ten widok. Kotłownia pracowała. Z komina — w blasku reflektora — wydobywały się wąskie smugi dymu, który stracił swą czarność, a nie nabrał czerwieni i snuł się pasmem twardej pracy, która się toczyła w dole, tam, gdzieś w niewidzialnych nizinach. Mimo woli nasuwała się myśl, że każdy z tych domów jest poniekąd symbolem uciążliwej pracy, ukrytej, niedostrzegalnej, ledwo przeżywanej.

Człowiek, stojący na tarasie zmarszczył brwi pod wpływem idei, która zwolna rozwijała się w mózgu. Wpatrzony w nieruchomą panoramę Oazy, uświadamiał sobie olbrzymi wysiłek masy ludzkiej, dokonany w celu wydzwignięcia osiedla, pracy, która przeistoczyła mroczne, podmiejskie pustkowia w tętniącą życiem dzielnicę. Uprzątnął sobie powolny przewrót, drażący się

Dalsze notatki z dziennika mówią o stosunkowo szybkim rozwoju Stowarzyszenia „Szkłane Domy”, stałym wzroście biblioteki Stowarzyszenia i dobrych stosunkach sąsiedzkich. Okres letni mieszkańcom upłynął w oczekiwaniu na ukończenie następnej serji mieszkań i wysiłkach w kierunku zwiększenia grona członków Spółdzielni, do czego wielką zachętą służyły mieszkania licznie bardzo odwiedzane przez przyszłych członków Spółdzielni. Również w tym czasie rozpoczęły zwiedzać nasze Osiedle wycieczki. W końcu roku zostały zapoczątkowane pierwsze odczyty, koncerty i zabawy w parterowej sali obecnej Części Społecznej. Organizowanie podówczas koncertów było wyłączną zasługą członka pierwszego Zarządu Stow. „Szkłane Domy” ob. F. Kwiatkowskiego, który nie szczędząc wysiłków i starań dał naszym członkom szereg pięknych, o bardzo wysokim poziomie artystycznym wieczorów wokalnno - muzycznych. Zorganizowanie orkiestry dętej, orkiestry mandolinistów, chóru młodzieży było wynikiem wspólnej pracy towarzysza Feliksa z nieodżałowanym Teodorem Rawicz-Lipińskim.

Do ważnych wydarzeń należy również otwarcie sklepu przez Warszawską Spółdzielnię Spożywców, która wreszcie po wielu naleganiach zdecydowała się sklep otworzyć. Otwarcie sklepu wywołało entuzjazm, ale także bunt lokatorów, gdyż okazało się, że nieboszczka Warszawska Spółdzielnia Spożywców postanowiła zbyt tanim kosztem zorganizować nowy punkt sprzedaży. W wyniku protestu osiągnięto, że graty z Pocijowa, sprowadzone jako „umeblowanie” musiały być zastąpione nowem solidniejszym umeblowaniem, a ceny artykułów spożywczych nie były kalkulowane specjalnie dla Żoliborza, jak to z początku próbowano robić. Warto

też zaznaczyć, że w rezultacie i ceny w okolicznych sklepach prywatnych znacznie spadły. Powołano następnie komitet sklepowy z pośród lokatorek, który troskliwą opieką nad pracą sklepu znacznie się przyczynił do dobrych stosunków między Spółdzielnią Spożywców i lokatorami.

Psio — kocia sprawa, jako zagadnienie, powstała przy zajęciu pierwszych mieszkań w Spółdzielni. Lokatorzy sprowadzając się do I kolonii, oprócz inwentarza martwego zaprezentowali również i inwentarz żywy w postaci psiego i kociego rodu. Mięte zwierzątka zaklimatyzowały się bardzo szybko i czując się doskonale, zaczęły swem zachowaniem zwracać coraz bardziej uwagę na swoją obecność. Kilka faktów namacalnych na klatkach schodowych zmusiło Administrację do interwencji, co spowodowało ograniczenie dotychczasowej swobody całkiem beztróskiego zachowania się tych stworzonek. Niestety jednak ograniczenie psiej swobody nie trwało długo. Zapewne ich właściciele sądzili, że pieski tak srodze ukarane nie naruszą już więcej porządku. I zawiedli się. Pieski nie tylko powróciły do dawnych błędów, ale w przypiływie energii długo tłumionej, w dwóch wypadkach naruszyły całość osób i garderób obywateli, bawiących w gościnie w niegościnnej Spółdzielni. To wydarzenie miało następstwa oplakane dla winowajców i ich współprac. Wszystkie pieski bezpowrotnie musiały opuścić Osiedle. W parę lat później psia sprawa powróciła. Pieskom w kagańcach i na smyczy zostały prawa przebywania w Osiedlu restytuowane. Z kotkami było trudniej. Próby ewakuacji tych stworzeń chybiły i naraziły wrogów kociego rodu na kolizję z Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami. Jest więc liczny psio — koci inwentarz w Osiedlu, naogół dobrze odżywiany.

A. D. D.

w odpornej, zawsze konserwatywnej świadomości ludzkiej. Niezliczone zebrania, setki godzin spędzonych przez wielu ludzi w zadymionych salach na żarliwych, trudnych konferencjach. Wydobywania z powodzi zakłanych ludzkich spraw, pojęć i ambicji istotną treść, zrozumienie znaczenia i sensu tej pracy. Błysk myśli, przekuwającej żmudne studia nad wygodą, estetyką, potrzebami człowieka na lotny szkic planu mieszkania — domu — kompleksu domów — osiedla, wraz z budynkami społecznymi, gospodarczymi, wychowawczymi. Ciężkie korpusy pociągów, wiozących materiały na bocznicę, długi, nieskończony szereg robotników, dźwigających cegłę. Zobaczył w ostrem, namacalnym przypomnieniu drogę belki windowanej na linach aż do stropów, pod blaskiem czerwonego reflektora dostrzegł całą armję murarzy, stolarzy, monterów, mechaników, szklarzy, wkładającą spokojny i uporczywy trud w budowanie domów. Przypomnił sobie wszystkie momenty szalonego napięcia, wodę podskórną, tamowaną rozpaczliwie, ssaną przez uparte pompy, zamykaną w betonowe kle-szcze. Przypomnił sobie wszystkie załamania finansowe, rozpaczliwą, mrówczą walkę o gotówkę, niewspółmierny wysiłek wszystkich uczestników zamierzenia, ponoszony dlatego, aby „to” mogło istnieć i zostać zrealizowane. Wyliczenia, kalkulacje, odstępstwa, ustępstwa,

nowe żądania, walkę z wrogiem zewnętrznym, wspólnym i ostatecznym.

Odwrocił powoli głowę i — uśmiechnął się. Niesformułowane myśli zaczęły przybierać kształt słów, opornych i trudnych. Zaczął mówić stłumionym głosem, jak-gdyby ważąc każde wypowiedziane zdanie:

— Jest ich niewątpliwie mała garstka tylko, a i ta garstka nie reprezentuje właściwie prawdziwych gospodarzy. Ale...

Zatoczył ręką łuk, przecinający domy, park, kotłownię i całą ginącą w cieniu głąb osiedla.

— Ale ta Oaza istnieje. I jest przez nich wydźwignięta. Ich pracą, ich siłą. Myśl, która kierowała każdym wykonawcą, każdym twórcą — jest ich myślą, ich ideą. Doświadczenie, które zdobywali, przyda im się przy budowaniu setek — tysięcy domów, które będą musieli wznieść. Toczy się tu wielka praca. Wielka praca wychowawcza — warsztat, w którym przekuwają się umysły, w którym uciśnieni uczą się rządzić, w którym samotnicy wciągają się w ład gromady, w którym dzieci zyskują plastyczne wyobrażenie świata, należącego do nich. I te domy, które stoją — są przecież trwalsze, niż obecny stan rzeczy. Nie trzeba się bawić w złudzenia ani roić, że zdobyło się coś więcej, aniżeli warsztat do dalszej pracy dla przyszłości...

J. T.

## Z piwnicy do ludzkiego mieszkania

Pracowałam od szeregu lat jako praczka.

Mieszkałam kątem w wilgotnej suterenie na Solcu. Cierpiałam na zdrowiu i nie mogłam należycie wypocząć po ciężkiej pracy. Dowiedziałam się od tow. Toeplitza, że jest taka spółdzielnia, która zamierza budować ciepłe, jasne i zdrowe mieszkania dla robotników i że ja również mogłabym w tym domu otrzymać mieszkanie, gdybym co miesiąc składała do tej spółdzielni po 10 zł. Wydało mi się to nieprawdopodobne, ale miałam wielkie zaufanie do tego, co mówił tow. Toeplitz, zapisałam się więc na członka Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i zaczęłam wpłacać co miesiąc po 10 złotych. Nie zdążyłam jeszcze wypłacić wszystkiego, gdy pierwszy dom W. S. M. został wybudowany. Suterena była straszna, a gdy zobaczyłam śliczne mieszkania

w Spółdzielni, to już była nie do wytrzymania. Zarząd Spółdzielni wziął pod uwagę dawność należenia do Spółdzielni, oraz moje warunki mieszkaniowe i otrzymałam mieszkanie z tem, że wkład opłacać będę ratami.

Było trochę za drogie na moje środki, pozwolono mi więc wziąć lokatora, członka Spółdzielni i jej pracownika. Potem wyszło polecenie, że sublokatorów trzymać nie wolno, a kto ma mieszkanie zaduże dla siebie, może zmieniać na mniejsze. Tak też zrobiłam, gdy wybudowano drugie skrzydło I-ej kolonii. Przeniosłam się do lokalu Nr. 72 i mieszkam w nim dotąd.

Zajmuję małą kuchenkę. Jest mi w niej dobrze: sucho, widno i ciepło. Póki żyć będę, nie opuszczę W. S. M.

W. Kielakowa.

## Dom kobiet

Mieszkanie jest tak ściśle związane z przeżyciami człowieka, że trudno nie mówić o sobie, o własnych radościach i smutkach z chwilą, gdy zaczyna się mówić o swoim mieszkaniu.

Mieszkanie w W. S. M. na życie moje i mojej najbliższej rodziny miało wpływ bardzo głęboki.

Zapisałam się do Spółdzielni w okresie dobrej konjunktury dla mego domu. Zarabiałam nieźle, mogłam przeto pozwolić sobie na mieszkanie odpowiadające mojej licznej rodzinie.

Poprzednio mieszkałam za miastem, pół godziny jazdy pociągiem, 20 minut „spaceru“ od dworca przyspieszonym krokiem. Mieszkanie zimne nie do wytrzymania. Trzeba było na zimę zamykać jeden pokój, aby nastarczyć węgla na opalenie drugiego i kuchni.

I to wieść radosna! Jacyś „warjaci“ i „utopiści“ budują kolonję spółdzielczą na Żoliborzu. Czy to przypadkiem nie kawał? Za co? Za te udziały dwustupięćdziesięciozłotowe, które garstka entuzjastów przez szereg lat ciułała? Trzeba tam pojechać i zobaczyć, jak to mówią, na „własne oczy“ ten cud.

Wybieram się pewnego jesiennego popołudnia z dziećmi. Niech zobaczą i zdecydują, czy będą

chciały tu mieszkać. Naturalnie, zdecydowały odrazu, że chcą. Nawet wybrały sobie mieszkanie, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności potem dostało się nam w przydziale.

Trzydziestego grudnia 1926 roku zjeżdżamy do nowego locum. Nie było w niem jeszcze elektryczności, zamiast schodów — drewniana kładka na parterze. Ciągłe jeszcze przychodzą malarze, murarze, hydraulicy, ale nie ciążą nam. Cieszymy się, że ciągle coś poprawiają, instalują. Co dzień coś nowego przybywa do mieszkania, codzień nowy powód do radości. Dziś mamy gaz, a dziś elektryczność, a dziś malują na olejno ścianę przy wannie, poprawiają okna i t. p. i t. p.

Wreszcie mamy wszystko. Woda ciepła na zawołanie. Chcesz herbaty po powrocie o północy z posiedzenia, za pięć minut gotowa. W nocy nie trzeba nakrywać się kołdrą aż na głowę, aby łatwiej rozgrzać się w wyciębionej pościeli. Można i rękę wyciągnąć spod kołdry, a nawet w nocy w białiznie spacerować po mieszkaniu (muszę gwoli przyzwolności powiedzieć, że był to dom kobiet) i dowoli w każdej chwili korzystać z wszelkich wygod. A kąpiel! Ten tylko, kto całe życie kąpał się w baljach i ceberkach, może zdać sobie sprawę z rozkoszy zanurzenia się po głowę w ciepłej wodzie. A prysznic! Cóż to za raj dla dzieciaków!

Zżyliśmy tak sobie kilka lat. Matka i głowa rodziny ganiała po świecie do północy, pracując zarobkowo i społecznie. A dzieci? Co robiły w tym czasie, gdy matki nie było w domu?

I tu dopiero wykazało się, jak dalece Spółdzielnia jest rozszerzonym domem, spełniającym jego funkcje wychowawcze w stopniu daleko lepszym, niż to niejednokrotnie czyni indywidualnie poszczególny dom. Moją jedenastoletnią córką zaproszona została przez „Dziadka“ (Tołwińskiego Kazimierza) do pracy w bibliotece „Szklanych Domów“. Jakie szczęście i duma napełniała młodociane pracowniczki społeczne, gdy na jednym z dorocznych zebrań





sprawozdawczych „Dziadek“ publicznie, wymieniając z imienia i nazwiska, podziękował gromadce młodocianych pracowników za bezinteresowną i gorliwą obsługę biblioteki. Głowy wszystkich zebranych odwróciły się na galerię, gdzie z zapartym ze wzruszenia tchem gromadka dzieci słuchała słów uznania dla ich pracy. Ta nasza bardzo młodziutka młodzież była współtwórczynią tego wszystkiego, co dziś obserwujemy w stanie kwitnącym pod kierownictwem naszych artystów i działaczy, prowadzących pracę oświatową i kulturalno-artystyczną w „Szklanych Domach“. Zaczątki tych prac planowane były w skromnym, pełnym kwiatów mieszkaniu „Dziadka“. Wiele kłopotu z tymi gośćmi miała „Babcia“, wiele radości dzieciarnia (przepraszam już młodzież), no i „Dziadek“. Nie można było poprostu zwołać tego bractwa do domu. Bo też słodkie to były wieczory w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego wyrazu.

Gdyby „Dziadek“ był młodszy i gdyby jeszcze był z nami, dzisiejsi organizatorzy życia młodzieży naszej jakże ułatwione mieliby zadanie!

A te trzylatki! Co się z nimi dzieje? Wśród tego „drobiazgu“ wielkim mirom cieszyły się dwie bardzo popularne postacie. „Ciocia Zosia“ (Lubodziecka), urządzająca uczyty, jak w bajce, w swoim pięknym małym mieszkanku na poddaszu. Ileż tam było zabawek, ile smacznych rzeczy przyrządzało się lalkom na obiad! Zupa z lemoniady, jarzyny z cukierków. Wszystko, naturalnie, w mikroskopijnych lalczanych porcjach, których lalki nie były w stanie jednak zjeść (nie miały apetytu) i które za nie zjadały na-

turalnie „matki“. Tam dzieci poznawały pierwsze zasady społecznego życia: zabawkami można było bawić się tak, aby wszystkie dzieci miały do nich dostęp, a więc sprawiedliwie, nie wolno było również Zosi niszczyć zabawek, bo Marysia wtedy płakała.

Drugą ukochaną postacią przez dzieci — to „Szczypek“. Dosłownie chodził mu po głowie. Nie mógł ukazać się na podwórzu, aby go nie opadły jak muchy! Czepiały się ubrania, ręk, szyi! Jak nie kochać tego Szczypka, który takie piękne rzeczy wymyślił dla uciechy dzieci, jak kukiełki! A on chodzi uśmiechnięty i szczęśliwy, że jest kochany.

„Szczypek“ pojechał w szeroki świat szukać chleba aż zagranicą, zastąpiły go równie bardzo popularny wśród dzieci „Jaś“ i „Fela“. Ale to należy do późniejszych dziejów.

Z tych indywidualnych wysiłków, w oparciu o W. S. M. rozwinęły się te instytucje, o których wiemy i które znamy: przedszkole, szkoła, gimnazjum, świetlica, poradnia dla dzieci, matek, kuchnia mleczna, „Szklane Domy“, kluby dla dorosłych, koła sportowe, muzyczne i t. p. i t. p. A nasze Jadzie, Krysie, Celinki, Hele, pracując nad sobą i kształcąc się zawodowo, nie zapominają o pracy społecznej i nadal swoje małe cegiełki do tego wielkiego gmachu dokładają. Atmosfera i klimat, w których się wychowywały, sprawiła, że młodzież ta nie będzie zwykłymi zjadaczami chleba, a stanie do pracy społecznej wszędzie, gdziekolwiek ją życie postawi.

J. S.

## Budujmy dla nowych ludzi

Wiatr, śnieg, zimno, pustka, szare grudy ziemi, bogato urodzajne w wielkie, bujne, rozłożyste osty.

Wicher wieje, śniegiem miecie w oczy garstce ludzi, co zesła się dla zapoczątkowania wielkiego dzieła: tworzenia dachu nad głową dla bezdomnych pracowników.

Idzie garstka pionierów tam, gdzie założono fundamenty. Przewodniczący bierze w rękę cegłę i zamurowuje uroczyste miejsce złożenia aktu erekcyjnego; wiatr śniegiem w oczy sypie, trudno patrzeć, ale radość serce rozpiera, bo tu będzie stał dom, nasz dom... I widzi się, że ten pierwszy dom, przetrzuca jakby swoje nasiona, z których wyrastają inne domy, ogarniają coraz dalsze przestrzenie, tułają do siebie coraz więcej bezdomnych, tworzą komórki, jak ul pszczeli, także dla społecznych potrzeb, komórki, gdzie najmłodsze pokolenie od dzieciństwa zaprawia się do hartowania swego ciała i doskonalenia swojej duszy przez uczucia braterstwa i szacunek dla wspólnej powszechnej własności.

Szopa z białych, świeżych, pachnących desek sosnowych, udekorowana pięknymi okazami ostów, niczem więcej, tylko ostami! Symbolizowały one swe mi kolcami, trudnościami i przeszkodami, stojące na drodze do naszych celów.

W owym dniu, w sosnowej szopie, składało nam wielu ludzi życzenia jak najszerszego rozwoju i najpomyślniejszych wyników. Z głębi zacnych i szcze-

rych serc płynęły ich życzliwe słowa, gdyż spełniły się całkowicie. Dziś, obchodząc uroczystość jubileuszu pierwszego dziesięciolecia, z dumą patrzymy na wyniki naszych zamerzeń: tysiące ludzi ma dach nad głową, setki dzieci ma słońce, przestrzeń i możliwość obcowania z przyrodą.

Rzewny żal tylko ściska serce, że nie wszyscy doczekaliśmy uroczystości dziesięciolecia, że świetlana postać twórcy tej komórki, gdzie duch ludzki czerpie ukojenie i siły, postać twórcy biblioteki, Kazimierza Tołwińskiego od nas odeszła... Ciężkie prawo życia...

Idą nowe czasy... Idą nowi ludzie!... Budujmy dla nich, budujmy!...

Stefanja Stankowska.



## Gromada światem włada

W dniu 12 grudnia mija dziesięć lat od rozpoczęcia budowy pierwszej kolonii. W cztery lata później wykończono kolonię drugą, w której otrzymało mieszkanie ponad 100 lokatorów. Uczestnicy róż-



*Wincenty Adynowski, działacz ruchu zawodowego, do ostatniej chwili swego młodego życia niezmordowanie szerzył ideę spółdzielczości mieszkaniowej wśród rzesz robotników stolicy.*

nych wycieczek zwiedzających nasze Osiedle, zazdrościli nam widnych słonecznych mieszkań. Był czas, że i ja, jak wielu innych spoglądałem zazdrosnym okiem na mieszkańców I-ej kolonii, którzy wcześniej zamieszkali w domach przeznaczonych rzeczywiście dla ludzi pracy. 10 lat wytężonej pracy, 10 lat walki z bezdomnością. Pierwsze pomyslane plany mieszkań dwuizbowych i większych ulegają zmianie, a przyczyną tego są zmniejszone

zarobki klasy pracującej i szczupłe fundusze przyznawane na budownictwo mieszkań robotniczych. W okresie dziesięciu lat osiągnęliśmy duże rezultaty; nie tak wielkie jednak jakbyśmy tego pragnęli. Ale zahartowani w walce 10-letniej członkowie W. S. M. nie spoczną na laurach, a nadal swą pracę kontynuować będą w łączności z całym ruchem robotniczym, aby powstawały nie wille i pałace dla jednostek, a wielkie Osiedla robotnicze. Miejmy wiarę, że rozpoczęta praca osiągnie w ciągu następnych 10 lat rezultaty jeszcze większe, jako, że „gromada światem włada“.

A. Fotek.



*W roku 1929 została wykończona II-ga kolonia W. S. M.*

## BIURO i ADMINISTRACJA

### Dola i wędrówki administratora

Gospodarowanie objektem niewielkim, jakim w pierwszych latach było Osiedle na Żoliborzu, pomimo, że była to praca zupełnie nowa, nie było rzeczą trudną. Dlatego też funkcje urzędowe w Osiedlu przejęte od tow. M. Zdanowskiej pozwalały mi na branie udziału również w pracach nad organizowaniem Stow. „Szkłane Domy“.

Rozpoczęte wtedy dzieło stało się dziś wielką organizacją, skupiającą stale wzrastającą rodzinę spółdzielczą, wychowując ją społecznie i kulturalnie. Zespół pierwszych lokatorów nie sprawiał w początkach zbyt wiele kłopotów, gdyż wszyscy przyzwyczajali się chętnie do nowych warunków i nie byli wymagający. Dopiero później w miarę oswojenia się zaczęli spostrzegać różne niedociągnięcia budowy, które trzeba było uzupełniać, bądź też poprawiać. Zaczęła się więc w coraz silniejszych dawkach odczuwać rzeczywista praca, zwłaszcza przy szybkim powiększaniu się ilości mieszkańców Osiedla. Pojawili się pierwsi wybredni lokatorzy. Wymagali, aby wszystko mieć w porządku — to mieli rację, ale, że na przykład o braku śrubki do

klamki przy łufciku pisali kilkustronicowe referaty i odwiedzali administrację codziennie — to wydaje mi się, była przesada. A takich obywateli opatrność od czasu do czasu zsyła jako znak, zrozumiany niestety poniewczasie, że przyjmować mieszkania od budowy, zanim odda się je lokatorowi, należy nie powierzchownie, a bardzo dokładnie zbadane, bo to zapewni w najbliższej przyszłości spokój, a nie odwrotnie — zatrucie wielu godzin, a nieraz i dni.

Równie gorzko zemściła się ufność do ludzi, jaką człek w początku miał pełne serce, gdy okazało się bardzo prędko, że polegając na zaufaniu i dzięki temu nie skontrolowawszy należycie jakiejś roboty, ma się potem tyle kłopotów, że staje się dopiero wtedy całkiem zrozumiałe przysłowie, „iż zaufanie jest między innymi po to, by się można na niem powiesić“.

Funkcje zawodowe administratora Osiedla w pierwszych latach były dość często uzupełniane dodatkowymi czynnościami, przy rozwiązywaniu, a zwłaszcza rozbieraniu pewnych problemów rodzinnych, w sensie dążenia do osiągnięcia utrac-

nych chwilowo przez niektóre rodziny harmonji małżeńskiej. Zagadnienie bardzo delikatne, wymagające wielkiej maestrii ze strony osoby trzeciej. Poza tym utrudnieniem w tych sprawach był niejednokrotnie niezbyt sędziwy wygląd zewnętrzny interweniującego, gdyż z tego powodu najlepsze intencje budziły pewne wątpliwości i zastrzeżenia ze strony podejrzliwych mężów. Dla uzupełnienia obrazu dodatkowych zajęć wspomnieć należy o równie przykrym obowiązku likwidowania zatargów sąsiedzkich. Aczkolwiek niezbyt często, zdarzały się kilkakrotnie tego rodzaju sprawy. Zwykle więc w relacji obu stron winnego nie było, natomiast charakterystyka wzajemna w wersji poszczególnych stron, była niejednokrotnie tak bogata, że wielu, wielu słów należało użyć, by zredukować wzajemną opinię do oceny obiektywnej samego faktu, w następstwie czego rzecz samą można pokojowo załatwić. Wielką też ulgą dla Administracji stało się zorganizowanie Samorządu z opiekunami kolonijnymi. Opiekuni i Komisja Dyscyplinarna, później dopiero przejęli pracę pacyfikacyjną, rozpoczętą w formie patriarchalnej przez administratora. Uzupełnieniem wspomnień będą ciężkie chwile minionych walk wewnętrznych, trudności finansowych Spółdzielni i radośnie: przy rozpoczynaniu budów nowych kolonij i oddawaniu jasnych, słonecznych, coraz to lepiej pomysłanych mieszkań — członkom W. S. M., których dotychczasowe warunki mieszkaniowe były czemś takim, o czym jaknajprędzej robotnik u nas powinien zapomnieć. Może przyszłe dziesięciolecie przyniesie nam te zmiany, o które walkę rozpoczęliśmy.

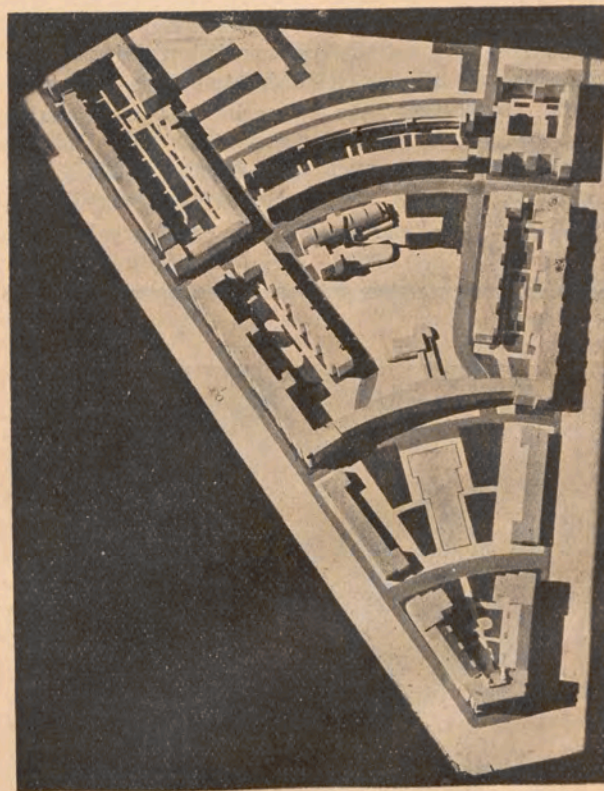
\*\*

Wspominając wędrówki biura Administracji po Osiedlu na Żoliborzu nasuwa się myśl, że może to było pierwszą wskazówką i zachętą dla niektórych lokatorów, również wędrujących po Spółdzielni.

Pierwsze locum Administracji, to korytarzyk przejściowy na trzecim piętrze w I kolonji. Pomieszczenie to z trudem wystarczyło Administracji i początkom Biblioteki. Z chwilą zaś przepełnienia pierwszej i jedynie możliwej do pomieszczenia półki z książkami, okazało się koniecznością znalezienia większego lokalu, a równocześnie należało urządzić odpowiednie warunki dla pracy Administracji i Biblioteki. Pod koniec 1927 roku Administracja powędrowała na krótki czas — półtora miesiąca do jednego z mieszkań parterowych w nowo-wybudowanym skrzydle frontowym I kolonji, a następnie do jednego z pokoi w części społecznej na I piętrze. Biblioteka zakwaterowała się obok w sąsiednim pokoju. Zajęcie Części Społecznej na szkołę zmusiło Administrację do poszukiwania innego lo-

kalu. Przeniesiono więc biuro Administracji do suiteru II kolonji. Warunki pracy jednak w tym pomieszczeniu na dłuższą metę były niemożliwe i znowu wobec ukończenia domu A w IV kolonji Administracja przejechała do tej kolonji, gdzie w przyziemiu, obecnie zajmowanym przez Pierwszą Pralnię Spółdzielczą, pracę swoją kontynuowała. Konieczność wyszukania lokalu dla Związku Budowlanego, znowu spowodowała ewakuację Administracji do innego lokalu. Jako miejsce odpowiednie uznano dobudówkę przy pralni, w tym czasie właśnie ukończoną. Bliskość do najważniejszych urządzeń gospodarczych Osiedla, kotłowni i pralni była dla pracy Administracji bardzo pożądana. Jednakże szybki wzrost Osiedla, a w związku z tem konieczność zwiększenia personelu biura zmusiła Administrację ponownie do wynalezienia odpowiedniejszego lokalu bardziej przystosowanego do warunków pracy, niż ostatnio zajmowane. Zwolnienie lokalu parterowego w III kolonji, było momentem, który zdecydował o ostatniej przeprowadzce do obecnie zajmowanego przez Administrację pomieszczenia i tym razem zdaje się już na dłużej.

A. Dziewierz.



## Biuro W. S. M.

Zacząłam pracować w W. S. M. w październiku 1931 roku. Przedtem nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób tak nieliczna grupka ludzi, którzy na pierwszy rzut oka zdają się nie pracować, a tylko załatwiają interesantów i ustawicznie rozmawiają z członkami, potrafi wydawać tak precyzyjne sprawozdania, zawierające statystyki,

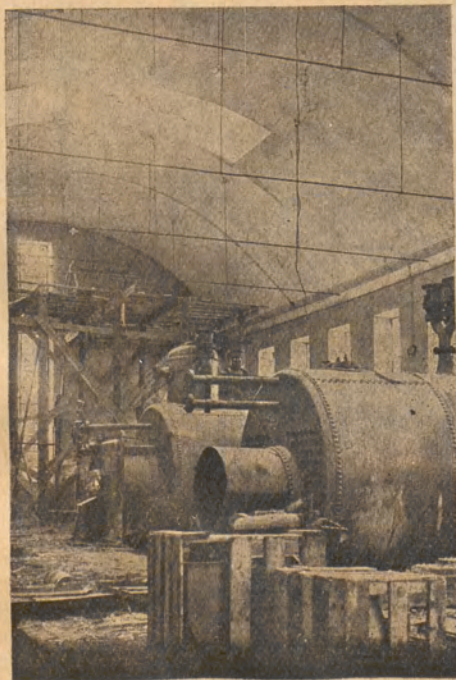
obliczenia, kalkulacje, bilanse i t. p. Naturalnie, tajemnicę łatwo zbadalam, gdy weszłam do ich grona: gdy zamykają się drzwi Spółdzielni przed interesantami, pracownicy zabierają się do tych robót i pracują, nie licząc się z czasem, dosłownie: „w świątek i piątek”. I to jest pierwsze charakterystyczne zjawisko, jakie

rzuca się w oczy każdemu, kto zbliży się do pracy w W. S. M.

Jakie jest samopoczucie pracowników na tle tego przepracowania?

Od samego początku zaszczycono mnie mandatem delegatki, który piastowałam nieomal do dnia dzisiejszego. To musiało sprawić, że na sprawy pracownice patrzyłam zawsze od strony ujemnej. Umysł delegata pracowniczego nastawiany jest na wykazywanie tej gorszej strony życia pracowników, celem usuwania jej. To też, gdy w numerze jubileuszowym wypada mówić o dobrych stronach pracy w W. S. M., to mogę uczynić to tylko przez porównanie z warunkami pracy w biurach prywatnych.

Pracowałam kilka lat w wielkich instytucjach, w których było mnóstwo urzędników, kierowników, naczelników, dyrektorów. Instytucja żyje pod znakiem ustawicznych reorganizacji i zmian personalnych. Co miesiąc spadają redukcje na tych i owych. Nerwy pracowników ustawicznie naprężone, jak struny. Czujność wzmożona. Ustawiczne poszukiwanie tych, co w krytycznej chwili będą mogli obronić. Ciągła mowa o wpływach, stosunkach, „plecach”, poglądach. O zdolnościach, pracowitości nie mówi się wcale. Kierownicy biegają od sali do sali, od gabinetu do gabinetu, przybierając przed drzwiami swych zwierzchników charakterystyczną postawę, mającą wyrażać wielki szacunek. Taką postawę mógłby oddać świetnie tylko karykaturzysta. Argusowe oko zwierzchności baczyci czujnie na wszystko, co się wśród pracowników na sali dzieje. Zbierają materiał do najbliższej redukcji. Biada pracownikowi, przyzwyczajonemu do wolności myśli i słowa! Gore temu, kto jest inny, niż istniejący kurs po-



Jak wyglądała Centralna Kotłownia w r. 1929.

lityczny; To też czasem ludziska tak nauczyli się otaczać mgłą neutralności, że długo można było siedzieć obok swego towarzysza pracy i nie dowiedzieć się, jaki on właściwie jest. Sfinksów, które boją się nawet uśmiechać znacząco, pełna sala!

Mając bardzo żywe usposobienie, zżymałam się wewnętrznie na te stosunki. To też odetchnęłam z ulgą, jak to mówią, pełną piersią, gdy znalazłam się w W.S.M. Ach, jak to dobrze być sobą! To czujne oko i ucho ekonomy pozostało w pamięci, jak zły koszmar.

Wolność myśli i uczucia, oto cechy charakterystyczne warunków pracy w W. S. M. Pracownik nie jest prowadzony za rączkę, jak niemowlę, pracuje dużo i dobrze, choć nie jest popędzany przez specjalistów. Mimo to bardzo dużo pracujemy i, choć jesteśmy zmęczeni, to jednak każde życzenie władz naszych, przyznać muszę, delikatnie „proponowane” (wiedzą dobrze o naszym przeciążeniu), wystarcza nam całkowicie za rozkaz.

Redukcja to zmora całego świata pracy w dzisiejszym walącym się ustroju. Nie możemy powiedzieć, byśmy i my byli wolni od tego. Ale u nas te rzeczy zdarzają się nie co miesiąc. Są to sporadyczne wypadki przeprowadzane z wielką ostrożnością i po wyczerpaniu wszelkich możliwości. Pracownika, który musi odejść, władze W. S. M. starają się urządzić gdzieindziej. Taki stosunek do tej ciężkiej zmory życia świata pracy przyczynia się w wielkim stopniu do tego, że pracujemy spokojnie.

Nie mamy czasu na życie towarzyskie. Nie odwiedzamy nawet chorych. Nie jest to dobrze, zdajemy sobie z tego sprawę. Nie znaczy to jednak, że się nie lubimy, albo jesteśmy w stosunku do siebie obojętni. Jesteśmy bardzo różni, ale się nie kłócimy, staramy się wzajemnie uzupełniać. Każdy ma swój zakres pracy, nie obrażamy się jednak, gdy usłyszymy życzliwą krytykę ze strony kolegów, o których działy prace nasze się zająbiają. Korygujemy się wzajemnie i krytykujemy. Nie boimy się, że jeden drugiemu wyłapuje jego niedokładności dla podstawienia mu nogi. Wszystkie uwagi, dyskusje i krytyki mają 1) tylko na celu udoskonalenie pracy i dobro pracownika, który ją prowadzi. Nie boimy się, że władze coś usłyszą. Nie ukrywamy swoich wad i błędów. Jesteśmy instytucją, jak na dzisiejsze czasy, fenomenalną, bo dotychczas ciągle rozwijającą się. Ogrom pracy, jaki z tego powodu narasta, nie idzie w parze z przyrostem personelu.

Tu kryzys swoje robi, ograniczając liczbę potrzebnych do pracy ludzi. Więc ciągle udoskonalamy organizację pracy, starając się dostosować do rosnących potrzeb. Stosunki między nami, aczkolwiek pozbawione sentymentalizmu, są bardzo dobre, życzliwe i szczere. „Soczyste” słówka, jakimi się czasem raczymy, są raczej wyrazem sympatii i życia się, niż tajonej nienawiści.

Nasze wady i usterki są powodem w naszym zapracowanym życiu do humoru. Chętnie się z siebie śmiejemy, ale nie wyśmiewamy. To też mimo nadmiernej pracy, jesteśmy pogodni i staramy się, o ile możliwości, być znośni dla otoczenia.

J. Święcicka.

# SZKLANE DOMY

## JAK ZOSTAŁY POMYŚLANE I REALIZOWANE

### I d e a

„Pomoc wzajemna, rozszerzona na wszystkie wypadki życia i wykonywana w małych grupkach ludzi znajdujących się osobiście”. „Związek, w którym nie powinno być żadnego biurokratyzmu... czysty typ związku ludzi dobrej woli, czyniących dobro bezinteresownie, nie jak urzędnicy towarzystw dobroczynnych, lecz tak jak pomagają przyjaciele”.

*Edward Abramowski — Związki Przyjaźni.*

Z pośród wielu zagadnień, które stanęły przed nami — pierwszym Zarządem Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej — w chwili w której mieliśmy przystąpić do „eksploatacji domów”, to znaczy do czynności tak bliskiej tego, co się nazywało zwykło „wyzyskiem kamienicznika”, najtrudniejszym, niemal niemożliwym do rozwiązania było zadanie następujące: jak pogodzić konieczną bezwzględność **instytucji gospodarczej**, zmuszonej do otrzymywania określonych z góry wpływów, z oczywistem i naturalnym rozumieniem położenia lokatora, pozbawionego możliwości płacenia komornego, wskutek braku pracy lub choroby. W jaki sposób Spółdzielnia będzie mogła żądać zapłaty komornego, grozić eksmisją, jeśli wie, że lokator, członek Spółdzielni — towarzysz, nie ze swej winy, nie ze złej woli, płacić nie może.

I w jaki sposób, nie tracąc wpływów z komornego, gospodarczo niezbędnych, okazać mu pomoc, któraby nie miała posmaku gorzkiego filantropji!

Szukając rozwiązania, znaleźliśmy je w rozmowie z towarzyszem Henri Sellier, znakomitym merem Suresnes, miejscowości fabrycznej pod Paryżem i prezesem Urzędu Budowy Tanich Mieszkań departamentu Sekwany. Od niego dowiedzieliśmy się, że w osiedlach, budowanych przez Urząd, powstają lokatorskie Towarzystwa wzajemnej pomocy, do których należą wszyscy lokatorzy: składki zbierane od nich, stanowiące pewien odsetek od komornego, wydatkowane bywają na rozmaite cele, przynoszące korzyść, ułatwiające lub uprzyjemniające życie ogółowi lokatorów.

Część dochodów Towarzystwa idzie na opłatę komornego za tych członków Towarzystwa, którzy

ze względów losowych nie są w stanie w danym okresie czasu sami komornego zapłacić. Urząd Budowy Tanich Mieszkań wpłaca corocznie do Kasy Towarzystwa określoną część sumy wydatkowanej na ten cel. W ten sposób Urząd okazuje pośrednio pomoc swoim lokatorom, nie wchodząc z nimi w żaden bezpośredni stosunek. Decyzja dotycząca okazania pomocy jest całkowicie zależną od władz Stowarzyszenia i niewątpliwie opartą jest na dokładnej znajomości potrzeb (wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi). Konieczność okazania pomocy w szerszym zakresie uszczupla możliwości użycia środków Stowarzyszenia na inne cele, jest więc istotną ofiarą, a nietylko zawsze łatwym szafowaniem cudzych pieniędzy, co by miało miejsce gdyby Urząd zwracał całkowitą sumę poniesionych na pomoc wydatków. Wreszcie — pomoc ta jest pomocą **wzajemną** i nie ma poniżającego charakteru dobroczynności.

Przykład ten zdecydował o kierunku naszych dalszych rozważań. Zdecydowaliśmy się, że i u nas, chociaż nie byliśmy Urzędem ale Spółdzielnią, musi nastąpić rozdwojenie osobowości. Jak w znanym filmie Dr. Jekyll i Mr. Hyde — zły Hyde i cnotliwy Jekyll. Twary, nieugięty, bezwzględny kamienicznik, nie wahający się w interesie ogółu przed eksmisją i jednocześnie dobry towarzysz, zawsze gotowy do pomocy towarzyszowi w nieszczęściu. Raz — to wszyscy członkowie W. S. M. reprezentowani przez Zarząd W. S. M., drugi raz — to ci sami, ale już jako członkowie „Szklanych Domów” reprezentowani przez Zarząd tej Instytucji. Przykro, nam, Zarządowi W. S. M., było wybrać dla siebie rolę tego wcielenia zła, które jednak było tylko wcieleniem koniecznego ładu, ale każdy z nas mógł się nietylko tem pocieszać, że rolę się z czasem zmienić mogą, ale przede wszystkim tem, że nawet jako bezwzględny kamienicznik jest jednocześnie członkiem „Szklanych Domów” i w ich działalności także udział bierze i jako kamienicznik znaczną część środków na tę działalność dostarcza. Więc też nie raz było trudno zobaczyć gdzie się kończy zły grymas Hyde'a, a zaczyna dobry uśmiech Jekyll'a.

T. Toeplitz.

### Narodziny

A więc jedziemy na Żolibórz, na Walne Zebranie przyszłych mieszkańców W. S. M. Na miejsce możemy się dostać tylko piętnastką z pl. Teatralnego, kursującą co dwadzieścia minut. Czekamy około kwadransa pod fillarami Teatru Wielkiego, gotując się do ofensywy. Le-

dwo ukazał się pojedynczy wóz piętnastki, a już tłum rusza do ataku. Najodważniejsi skaczą w biegu, poczem następuje szturm generalny nie tyle na bagnety, co na łokcie.

Za dworcem Gdańskim kończy się Europa, zaczyna się pustynia, niby Ogaden w porze

deszczowej. Wsiadamy na Żoliborzu urzędniczym — następny przystanek znajduje się dopiero na rogu Marymonckiej i Potockiej. Zdaleka widnieją już mury lewego skrzydła dzisiejszej I-ej kolonii; niby skalista wyspa na morzu błota. Ogarnia nas zwątpienie, czy wogóle dotrzeć potrafimy do upragnionego celu. Nauka pływania okazała się przecież zbędną. Oto Zarząd W. S. M. położył od rogu Marymonckiej i Ustronia chodnik z desek do samej I kolonii.

Dobijamy szczęśliwie do celu, którym jest nieukończony jeszcze dom i zbieramy się w mieszkaniu Nr. 3. Część obecnych siada na prowizorycznie skleconych ławkach, część musi stać. Pierwsze zebranie mieszkańców domów WSM. rozpoczyna się.

Na tem to zebraniu wystąpił tow. Toeplitz z projektem założenia stowarzyszenia wzajemnej pomocy mieszkańców osiedla i przedstawił gotowy projekt statutu. Wybrana przez zebranych komisja, po wprowadzeniu szeregu poprawek, przedstawiła statut władzom do zatwierdzenia. Najważniejsze zmiany, dokonane przez Komisję, polegały na uprawnieniu członków rodzin do uzyskania członkostwa i stworzenia przymusu dla głównych lokatorów należenia do stowarzyszenia. Jednak Komisariat Rządu, jako, że znana jest jego pieczołowitość, jaką otacza wolność osobistą obywateli Rzeczypospolitej, nie zgodził się na wprowadzenie tego ostatniego przepisu. Zresztą, w tym okresie przymus był zbyteczny, bo każdy z dwudziestudziestowieciu głównych lokatorów uważał pozostawanie poza stowarzyszeniem za coś przynoszącego mu ujmę. Również około jednej trzeciej wszystkich dorosłych członków rodzin zapisało się natychmiast na członków.

„Szklane Domy“, zgodnie z założeniami tow. Toeplitza, początkowo były przede wszystkim stowarzyszeniem wzajemnej pomocy materialnej. Środki, jakimi rozporządzały, przedstawiały się nadzwyczaj skromnie. Jedyne dochód — składki członkowskie w wysokości 5 proc. komornego — przynosiły około osiemdziesięciu złotych miesięcznie. Za lokal służył kąpiel w pobliżu administracji, w mieszkaniu Nr. 8 (właściwie szersza część korytarzyka, łączącego dwie klatki schodowe). Zebrania Zarządu odbywały się w mieszkaniach prywatnych, zaś walne zgromadzenie w biurze kierownika budowy, to znaczy w prowizorycznej budzie, skleconej z desek, która stała tam, gdzie dziś domek, mieszczący dzielnicę P. P. S.

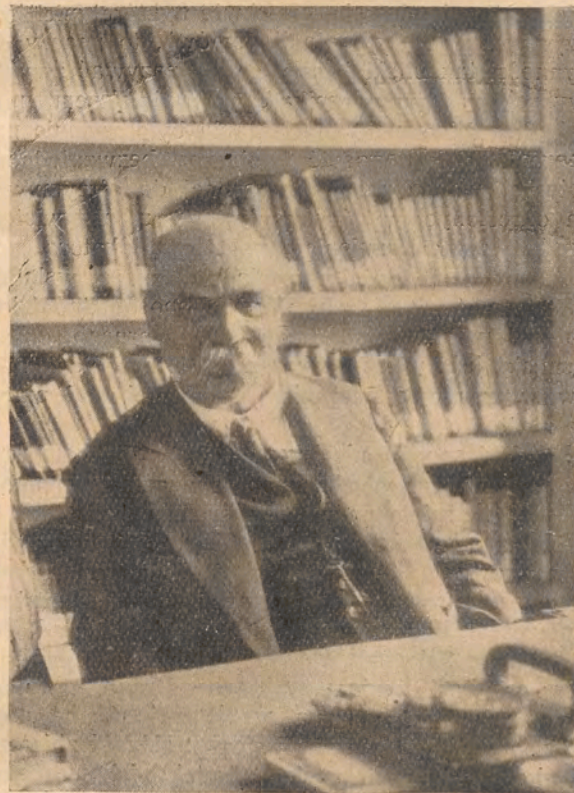
Kulturalne potrzeby mieszkańców wkrótce jednak zaczęły torować sobie drogę. Pierwszą próbą ich zaspokojenia — to powstanie biblioteki!

Ach, cóż to była za biblioteka!

Pierwsze książki pochodziły z daru tow. Zofji Lubodzieckiej (znanej „cioci“), następnie „dzia-

dek“ Tołwiński dołożył kilkanaście swoich, paru innych lokatorów po kilka lub jednej.

Ale gdzie to umieścić, na czym? Znalazł się ofiarodawca jakiejś starej obdrapanej półki. Inny lokator ją pomalował, a że istniał kąpiel w administracji, więc i sprawa pomieszczenia znalazła rozwiązanie. Co prawda, niezupełne. Idzie bowiem czytelnik do biblioteki i „wybiera“ (oj, było z czego wybierać) książkę. Okazuje się, że wprawdzie nie znajduje się w czytelniku, ale jej niema. To samo druga i trzecia. W kilka dni potem znajduje się z powrotem, wprawdzie nie zupełnie na swoim miejscu, ale zawsze na półce, zato inne książki znikają. Wreszcie tajemnica wychodzi na jaw. Dozorca, mając klucz od administracji, nie pytając się o pozwolenie, zabrał odrazu ze szczupłego księgozbioru po siedem — osiem książek, a niezależnie od tego pomagał mu w nieco skromniejszych rozmiarach sam administrator.



Jakich później środków używał „dziadek“, w jaki sposób legalnie i nielegalnie wyciągał pieniądze z kasy Stowarzyszenia, byle tylko powiększyć bibliotekę o kilka książek, tego moje pióro opisać nie potrafi, dość, że księgozbiór rósł powoli, ale stale. (Już mamy sto tomów, już sto dwadzieścia, niedługo dociągniemy do stu pięćdziesięciu... A obecnie?)

Biedne nasze dzieciaki nie miały co w zimie z sobą robić. Przed domem bajoro nie do przebycia, przecięte chodnikiem z desek, od podwórza wąskie jedynie przejście, a dalej płot, dzielący gotowe już skrzydło od reszty budo-

wy. Mamy wpośród nas tow. Bierutową, zawodową przedszkolankę. W jej mieszkaniu i pod jej kierunkiem z inicjatywy paru matek powstaje mały komplet, zarodek przyszłego przedszkola.

Samo przedszkole, z jedną siłą fachową, zakładają „Szkłane Domy” dopiero po prawie dwuletnim istnieniu i po wykończeniu części społecznej, a w następnym roku przekazują je R. T. P. D.

Przedtem próbuje się powołać do życia świetlicę. Oba frontowe skrzydła I-ej kol. są już zamieszkałe, z części społecznej gotowa jest tylko salka na parterze i na pierwszym piętrze pokój administracji. W tej oto salce zbierają się codziennie dzieci na zabawę, młodzież na gry umysłowe. Brakuje środków materialnych na opłacenie siły fachowej, jak potem brak jest pieniędzy na gospodynię przygotowującą śniadania dla przedszkolaków.

Nie było pieniędzy, ale był zapał i ofiarność do pracy. W świetlicy dyżurowali po kolei członkowie, zgłaszający się na ochotnika. Do przygotowywania śniadań zgłosiło się kilka towarzyszek z tow. Burkotową na czele i gotowały przez cały okrągły rok.

Na zakończenie jeszcze słów kilka o teatrze Kukiełek.

Około Bożego Narodzenia w r. 1927 grupa aktorów wystąpiła w celach zarobkowych z t. zw. szopką. Oświadczyła nam, że gotowa jest dać bezpłatne przedstawienie dla naszych

dzieci, o ile przewieziemy szopkę do szkoły na Marymoncie, a potem do nas. Zgodziliśmy się, ale skąd wziąć pieniądze na przewóz?

Pieniądzy nie było, ale istniała mocna wola. Leżał właśnie duży śnieg, więc związano dwie pary saneczek i na nich tow. Zdanowska i dwóch towarzyszy z miasta przytaszczyli szopkę. Cóż to była za podróż!

Sznury, łączące sanki ciągle się rwały, a pod przejazdem kolejowym wszystko się wywaliło. Koniec końców transport doszedł do miejsca przeznaczenia, wobec czego i przedstawienie się odbyło. Nie należało ono do udanych, ani pod względem treści, ani wykonania, za to epilog brzemienny był w skutki.

Po przedstawieniu tow. Zofja Lubodzińska oświadczyła, że „Szkłane Domy” tak długo będą tkwiły w kłopotach pieniężnych, dopóki nie zdobędą jakiegoś poważnego źródła dochodowego. Za takie uważa teatrzyk Kukiełek. I nie pytając się nikogo, kazała własnym kosztem zbudować szopkę, którą ofiarowała „Szkłanym Domom”.

Potem już zjawili się i artyści ze Szczepanem Baczyńskim na czele. Następnie przy podziale czynności początkujący dopiero teatr Kukiełek przejęło R. T. P. D.

„Szkłane Domy” powstały z entuzjazmu i mocnej woli pierwszych członków; dlatego są tem, czem je dziś widzimy.

Jan Libkind.

## Osiągnięcia

Spółdzielczość mieszkaniowa jest jedyną formą ruchu robotniczego, która już dziś, w okresie gdy toczy się najzawziętsza walka o lepszy, ustrój społeczny, stanowić może teren tworzenia nowych form życia społecznego. Żadna bowiem dziedzina tego ruchu nie wiąże ludzi, których zrzesza, tylu węzłami, co spółdzielczość mieszkaniowa.

Otóż ta rzecz była od początku jasna — szło nam nie tylko o stworzenie spółdzielni, szło nam o stworzenie społeczności. Poto związaliśmy się węzłem spółdzielczości mieszkaniowej, aby natychmiast zacząć zadzierzgać inne węzły, aż wreszcie połączeni tysiącem nici, stanimy się nową formą życia.

Ale zadań tych W. S. M. nie może już dokonać bezpośrednio. I dlatego otoczyła się całym wieńcem organizacji bratnich.

Główne zadanie: zamienić współlokatorów na zorganizowaną społeczność, spada na „Szkłane Domy”.

Co w tej dziedzinie zostało dokonane? Zorganizowanie wszystkich mieszkańców w Stowarzyszenie nie zostało jeszcze osiągnięte. Blisko połowa ogranicza się do roli lokatorów. We Francji u wstępu rewolucji była Konstytucja, która dzieliła obywateli na czynnych i bier-

nych. Ale tam obywatele bierni chcieli koniecznie zostać czynnymi, tylko im tego broniono. U nas mogą, ale nie chcą. Hasłem nowej dziesięciolatki powinno być: zlikwidować instytucję obywateli biernych.

Ważniejszym jeszcze od zorganizowania jest zagadnienie uaktywnienia mieszkańców naszych osiedli. Zorganizowanie ma bowiem często charakter formalny, aktywność ma zawsze żywą treść. W tej dziedzinie osiągnięcia nasze są poważne. Samorząd lokatorski zorganizowany przez „Szkłane Domy” i liczne placówki powołane przez nie do życia skupiły do czynnej pracy setki mieszkańców obu osiedli. Kilkaset osób pracuje w zarządach, komisjach, zespołach. O wiele liczniejsze setki korzystają z naszych instytucyj, uczęszczają do bibliotek i czytelni, na odczyty i wieczory dyskusyjne, na kursy i do klubów, na koncerty i imprezy artystyczne. Ognisko naszego życia zbiorowego płonie jasnym światłem.

Miejsca jest przy niem dość dla wszystkich. Udało się stworzyć środowisko współżycia, punkt zborny do którego razem się zbiegamy. Jest już coś co przenika przez dzielące nas ściany i łączy nas w gromadę. Sprobujcie dziś rozerwać te węzły, a zobaczycie jakie protesty

się podniosą. Współdziałanie nasze stało się potrzebą i to jest najważniejsze osiągnięcie.

Rozwinęło się w nas poczucie solidarności i to jest dalsze osiągnięcie. Czujemy się odpowiedzialni nie tylko za losy swoje, ale i za losy naszych współtowarzyszy. W świecie kapitalistycznym jednostka może zginąć wśród tłumu otaczających go ludzi, w najludniejszym domu nic nikogo nie obchodzi, jakie tragedje i cierpienia rozgrywają się za cienką, dzielącą nas ścianą. W nowym społeczeństwie, które my tworzymy, w miejsce obojętności jest solidarność, w miejsce obcości braterstwo. Dlatego też jedną z podstaw naszego życia jest wzajemna pomoc. Osiągnięcie nasze w tej dziedzinie polega na tym, że zasada ta zdobyła już u nas pełne prawo obywatelstwa, że nie potrafimy już sobie naszego środowiska bez tej zasady wyobrazić, że wżarła się ona w naszą świadomość jako konieczność. A jeżeli zakres jej ma tak wąskie granice, wiadomo, że nie my te granice zakreśliśmy.

A dalej wymienić należy nasze osiągnięcia w dziedzinie wychowawczej. Rozwój pracy wychowawczej idzie w potrójnym kierunku: ilościowym, metodycznym i ideowym. Pod względem ilościowym wyniki są niewątpliwe, choć znacznie poniżej możliwości naszego osiedla. Pod względem metodycznym kroczymy od istniejących zainteresowań do tworzenia nowych, od przejawów życia do praw, i od pracy luźnej i okolicznościowej do pracy systematycznej. Systematyzacja pracy napotyka na trudności, które bardzo powoli dają się pokonywać. Całej tej pracy przyświecają cele 1) zaspokojenie bieżących potrzeb, 2) szkolenie do najbliższych walk, 3) przygotowanie do zadań budownictwa jutra. Pod względem ideowym więc ta praca jest podporządkowana ogólnym zasadom wyzwoleniejszego ruchu świata pracy, wypływa z podstaw światopoglądu socjalistycznego.

Nie były jednak nigdy i nie zamierzają się stać „Szkłane Domy” organizacją polityczną.

Przy całym naszym dążeniu do stworzenia jednolitej podstawy klasowej nie pragnęliśmy nigdy tworzyć jednolitej podstawy politycznej. Ale rozbicie politycznego ruchu klasowego było faktem, z którym musieliśmy się liczyć. Otwierając szeroko wrota dla całego świata pracy musieliśmy być przygotowani na to, że jego polityczne walki wewnętrzne znajdą swój oddźwięk i na naszym terenie. I postawiliśmy zasadę: spółdzielnia jest idealnym terenem współdziałania, jest szkołą współżycia różnych kierunków rozdartego sporami ideowymi obozu klasowego. I powiedzieliśmy sobie: tyle jest terenów, gdzie ścierają się i uwydatniają różnice dzielące ten obóz, niechaj będzie także taki teren, gdzie na wierzch wydobędą się te czynniki, które go łączą. A przecież są one ważniejsze od tych, które dzielią.

Nie było to bynajmniej stanowisko bierności wobec tych walk. Nie pragnęliśmy wcale tuszować różnic. Chcieliśmy stworzyć tylko środowisko uczciwej wymiany myśli w atmosferze spółdzielczego braterstwa, środowisko w którym można walczyć z szansami przekonania się i odzyskania wspólnej drogi. Było to coś odwrotnego od bierności. Było to przekonanie, że walki, które się toczą muszą się tą wspólną drogą zakończyć, i chęć przyspieszenia i ułatwienia tego procesu.

Było to zadanie ciężkie i trudne. Wszyscy pamiętamy przez jakie etapy przejść musieliśmy. Ale osiągnięcia są tu naprawdę pomyślne.

Życie wewnętrzne stowarzyszenia osiągnęło poziom niewątpliwie wyższy, zagadnienia są omawiane w sposób rzeczowy i poważny, a wysiłki stają się bardziej celowe i skuteczne.

Bilans nasz nie jest bilansem zakończonej roboty. Takiego bilansu wcale nie pragniemy. Stwierdza on tylko, że znajdujemy się na linii rozwoju. Wyniki osiągnięte pozwalają żywić nadzieję, że droga ta prowadzi ku celom i zadaniam wielkim i godnym wysiłków.

Adam Próchnik.

## Klub młodych bibliotekarzy

Pragnę podzielić się garścią wrażeń i wspomnień, z pierwszego okresu biblioteki, która dzisiaj pod względem techniki i postępu niczem nie przypomina pierwszych jej poczynąń.

Twórca jej „Dziadek”, inż. K. Tolwiński, z bibliotekę stworzył coś w rodzaju świetlicy dla młodzieży. Poza godzinami dyżurów często zbieraliśmy się w bibliotecę na pogawędki. Takieśmy się przyzwyczaili do tych częstych zebrań, że gdy tylko ktoś z nas miał chwilę wolnego czasu „pędził” do biblioteki.

Wiele tam było śmiesznych incydentów. Pewnego razu ktoś zapomniał, że półki z książkami nie są przymocowane do podłogi i całą siłą oparł się o jedną z półek. „Biedna półka” nie wytrzymała ciężaru dość korpułentnego osobnika i z wielkim hukiem zwała się na

ziemię. Dobrze że nic nikomu się nie stało, ale dość było śmiechu, gdy spod masy książek, wygrzebały się dwie z naszych dziewcząt.

Innym razem zgubiono klucz od drzwi wejściowych, ponieważ zbliżała się godzina dyżuru, a nie było blisko żadnego ślusarza, przystawiono drabinę i jedna z naszych dyżurnych weszła na pierwsze piętro. Dostała się do środka przez okno, otworzyła zatrask, i dyżur odbył się bez żadnych przeszkód. Kiedyś była doskonała historia z pieczętkami „odpowiednia dla młodzieży”.

Początkowo był taki system, że czytelnicy mieli dostęp do półek z książkami. Młodzież brała wszystkie książki, jakie jej wpadły w ręce. Chcąc zapobiec czytaniu nieodpowiednich książek, zebrała się komisja, któ-



ra rozsegregowała cały księgozbiór. Książki, które nadawały się dla młodzieży i dla dorosłych stempowano pieczątką, na której był napis „odpowiednia dla młodzieży”.

Skutek tego był wręcz odwrotny. Młodzież obrażona tego rodzaju pieczątkami, starała się pokryjomu brać



książki tylko dla dorosłych, a dorośli sądzili, że jeśli na książce jest taki stempel, to nie warto już jej czytać. Dopiero po długich perswazjach dziadka nakłoniono obie strony do czytania owych książek. Aby jednak zapobiec kaprysom czytelników, po niedługim czasie skasowano pieczętkę, która narobiła tyle zamieszania.

Starania czynione przez dziadka aby przywiązać młodzież do bibliotek najzupełniej się udały. Wspólne wycieczki, wieczorki i zebrania związały silnie małą grupkę młodzieży. Pozostało z tej grupki kilka osób, które do dzisiaj pracują na terenie biblioteki, i zawsze wspominają te dawne czasy, gdy biblioteka była jakby naszą świetlicą, miejscem naszych spotkań i zebrań.

Nieraz z takim trudem walczył dziadek o kilka nowych książek. Ile razy chodziliśmy po domach nowych kolonij, z prośbą, aby nam dano książki, ile razy urządzaliśmy loterie fantowe na dochód biblioteki.

Nic też dziwnego, że plon rzucony przez dziadka wydał owoce, że z 20 czytelników mamy 1000, a z 200 książek 8.000.

Dziadek wyszkolił sobie kadrę pracowników, która do dzisiaj pracuje i pracować będzie w imię jego ideałów.

J. L...na.

## OD PRZEDSZKOLA DO GIMNAZJUM

### Jak to było na początku...

Już mija dziesięć lat, a każą pisać o tem jak było na początku. To doprawdy bardzo trudno — szczególnie jeżeli ktoś jest człowiekiem, który całkiem nie ma wspomnień, tak np. jak ja.

Dla mnie zaczęło się przedszkole w r. 1928-29. Mieściło się ono na II piętrze w części społecznej W. S. M. (I kolonja).

Legenda głosi, że były przedtem komplety dzieci w prywatnym mieszkaniu, jak tylko zagnieździli się pierwsi mieszkańcy w W. S. M.

Do organizowania przedszkola przystąpiono z rozmachem. Przydzielono lokal bardzo ładny — duża południowa sala z wielkimi oknami, obok, za oszklonemi drzwiami pokój mniejszy — pozatem kancelarja, przedpokój — szatnia i umywalnia, w której umywalki umieszczone na poziomie wzrostu dzieci, oraz niziutkie klozeczki imponowały i zachwycały wszystkich zwiedzających. Sprawdzono stoliki i krzeselka odpowiedniej wysokości, szafkę do pomocy przedszkolowych, zrobiono drabinki do ręczników, szafki do ubrań i t. d. i t. d. coraz to przybywało coś nowego. Pomysłowość i inicjatywa miały tu pole do popisu — i pod kierunkiem Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci były należycie wykorzystane.

Uwieńczone też zostały niepospolitym rezultatem w postaci szklanego domku we własnym ogródku—

dorobek, o którym zdawałoby się marzyć tylko można.

I teren do spacerów (półkolonijny) — tuż blisko. Nie to co dawniej, gdy trzeba było aż nad Wisłę paradować, żeby móc na zielonej trawce pohasać (bo tak jak i obecnie, dążyliśmy zawsze do tego, aby dzieci możliwie dużo czasu spędzały na powietrzu).

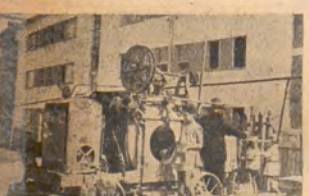
Pamiętam doskonale długi sznur na czekoladowo opalonych, prawie gołych (bo tylko w spodenkach gimnastycznych) dzieciaków wraz z niemniej czarną wychowawczynią, którą często zaczepiano pytaniami: „skąd to są te murzyniątka” lub „co to za murzyńska kolonja” i t. p.

Już w drugim roku istnienia przedszkola wyłoniła się potrzeba szkoły — matki bowiem nie chciały przenieść starszych 7-0 letnich dzieci, do innych szkół, a tylko domagały się zorganizowania I-go oddziału szkoły przy przedszkolu.

I tak też się stało. Z tą tylko różnicą, że wyłoniła się potrzeba zorganizowania odrazu dwóch poziomów nauczania — a mianowicie I i II oddz. szkoły powszechnej.

Początkowo, wobec małej ilości dzieci obydwa poziomy prowadzone były przez jedną nauczycielkę, w szybkim tempie jednak zaczęły dzieci przybywać, tak, że po paru miesiącach trzeba było powiększyć personel pedagogiczny jeszcze o jedną





się. W tym czasie w przedszkolu były już trzy poziomy: 4-o, 5-o i 6-o latki.

Powstała Rada Pedagogiczna. I odtąd rok rocznie przybywał jeden oddział. Skromne przedszkole przekształciło się w normalną 6-o oddziałową szkołę powszechną, z której wyrastać zaczyna gimnazjum. Znowuż dorobek, o którym, zdawałoby się — nawet marzyć trudno — dorobek tem cenniejszy, że osiągnięty bez ustępstw z naszej strony, gdyż zarówno szkoła jak i gimnazjum są świeckie.

## Droga przebyta

Pierwsi lokatorzy I kolonii mieli oczywiście dzieci i to małe dzieci. Stworzyły więc matki same wspólnymi siłami komplet, korzystając, że w gronie rodziców znalazła się przedszkolanka. Nikt właściwie nie przewidywał, że to skromne przedszkole w lokalu Nr. 4, ta grupka dziesięciorga malców będzie zaczątkiem „siec szkolnej“ W. S. M. Dziś patrząc na rezultaty 9-letniej pracy, wydaje się, że rozwój szkoły szedł w zawrotnym tempie. Przecież ówczesne przedszkolaki są dziś w I klasie naszego gimnazjum! Trudno w to uwierzyć, że tak niedawno uczyły się zapinać guziki, w pocie czoła sznurowały buty i piły tran, a dziś... trochę im się zaczyna palić w głowach, a my z ciekawością patrzymy, jak realizować będą w dalszym życiu to, co im dało wychowanie w szkole R. T. P. D.

Wróćmy jednak do początków naszej działalności. W r. 1928-29 zjawia się na widowni żoliborskiej — RTPD. Czy możecie sobie wyobrazić wy, dzisiejsi mieszkańcy, że istniała W. S. M. bez R.T.P.D. Nawet i my z trudem wygrzebaliliśmy z pamięci, że kiedyś w r. 1927-28 „Szklane Domy“ prowadziły przedszkole. (Niech to będzie nauką dla członków W. S. M. na Rakowcu, żeby nie zapominali o zbieraniu dokumentów swojej działalności oświatowej). Przedszkole szybko staje się kwitnącą instytucją. Znane to nam wszystkim pogody, owe śniadania z przepisu lekarza, poradnia i kwarcówki, ale pomyślcie, że to wszystko trzeba było stworzyć i że to było na Żolibórze rzeczą nową.

A bieganie dzieci w samych majteczkach kąpielowych na dworze ku oburzeniu jednych, a uciechu innych? W roku 1929-30 życie zmusiło nas do uruchomienia I oddziału. Wtedy wiedzieliśmy już, że musimy stać się rozwojową szkołą powszechną; jeszcze w tym samym roku trzeba było uruchomić II i III rok nauczania. Ponieważ dzieci było mało, ponieważ nie przeszły one przez nasze przedszkola (sprowadziły się później), zdecydowano poprowadzić komplety, a normalne klasy otwierać stopniowo. I oto mając dużo trudności, nie stanęliśmy w połowie drogi, lecz otwieraliśmy co roku następną klasę aż nasze małe przedszkolanki, dla których szkołę otworzono w r. 1927 ukończyły ją, jako uczniowie VI klasy w r. 1935. Nie koniec na tem — przeszły one do I klasy gimnazjum i mamy nadzieję, że wraz z świeżo przybyłymi dziećmi znowu jako



nasi najpierwsi wychowankowie skończą u nas gimnazjum.

Czyż nie musi im być miło, że są poczęści uczestnikami tego pochodu naprzód! Sporo pracy ich tkwi w ogrodzie, gdzie własnymi rękami uprzętałi gruz i śmiecie zanim siali i zbierali, gdzie uprawiali i uprawiają co roku zagony, a plony idą na wspólny użytek, że patrzyli i patrzą na rozwój Spółdzielni i że wychowują się w takiej atmosferze, jakiej nie posiadają inne szkoły.

## Osiągnięcia R. T. P. D.

Praca społeczno wychowawcza R. T. P. D. na terenie Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniczej rozwija się równoległe z rozwojem Osiedla, wyrosła z jego potrzeb i wrasta w jego życie, jako czynnik twórczy, oparty o głęboką świadomość celów.

Rozmach tej pracy idzie w parze z jej ideową i organizacyjną prężnością. Gdy WSM. na przestrzeni dziesięciu lat swego istnienia obejmuje swą akcją coraz większą przestrzeń i liczbę ludzi, R. T. P. D. nietylko rozbudowuje dzięki poparciu W. S. M. i „Szklanych Domów” swoje zasoby materialne, ale przede wszystkim pogłębia swój wpływ ideowo - wychowawczy i rozbudowuje swój system oddziaływania na kulturę, umysłowość i obyczaje w duchu postępu najszerzej pojętego i wpływającego z naczelnych postulatów socjalizmu.

Rozwój RTPD. stał się potrzebą życiową osiedla od pierwszych chwil jego istnienia.

W miarę jak rosła ilość kolonji i liczba dzieci, rosły zadania, wychowawcze R. T. P. D. Musieliśmy obejmować nietylko coraz więcej dzieci, ale i nasza opieka musiała stawać się coraz wszechstronniejsza.

Chcieliśmy pomóc rodzinie w rozwiązaniu trudnego problemu wychowania dziecka i oto okazało się, że nie chcąc i nie mogąc usunąć rodziny od wpływu na dziecko musimy przede wszystkim zdobyć wpływ na rodzinę, musimy trafić jej do przekonania, do rozsądku i do serca, musimy ją wychować.

Zaczęliśmy od rzeczy najprostszych, podjęliśmy walkę o zdrowie dziecka, walkę o powietrze, światło i ruch dla dzieci.

W tej walce napotkaliśmy na silny opór, trzeba to dziś przypomnieć, że spoczątku ogół był przeciwko nam, gorszono się naszą gimnastyką w kostjumach w zimie na dworze, gorszono się tem, że dzieci naszego przedszkola za mało się „uczają” w budynku a za dużo bawią na świeżem powietrzu.

Teraz te rzeczy należą do przeszłości, walka o powietrze, słońce i ruch dla dzieci na terenie osiedla jest wygrana. Wspominamy o niej zwłaszcza dla nauki tych, którzy rozpoczynają pracę w nowym Osiedlu na Rakowcu. Wspominamy o niej jeszcze i dla tego, że w tej walce o elementarne prawa dziecka w rodzinie, na-

A skoro mowa o włożonej pracy, to trzeba oddać sprawiedliwość wszystkim pracownikom zarówno tym co pracują, jak i tym, co przestali pracować, że każdy i każda włożyli w ciągu tych lat 9-ciu bardzo dużo najlepszych wysiłków, by odpowiedzieć trudnemu zadaniu wychowania nowego człowieka. Uszliśmy wszyscy spory szmat drogi wraz z dziećmi — od przedszkola do gimnazjum.

R. Lubdziecka.

wet wysokie uspołecznienie rodziny nie zawsze było naszym sprzymierzeńcem. Między teorią i praktyką życia codziennego naszych towarzyszy ideowych spotykaliśmy często olbrzymie sprzeczności i zwalczyliśmy je z całą nieustępliwością, dążąc do podźwignięcia rodziny, jej życia i obyczajów na poziom godny wyznawanych przez nią zasad.

I musimy tu wyraźnie zaznaczyć, że mimo wielu trudności, mimo całej nieustępliwości z jaką R. T. P. D. występowało i występuje w imię swych zasad, stosunek członków WSM. do naszych naczelnych instytucyj do Szkoły i do Poradni poza niewielu wyjątkami był i pozostaje wciąż stosunkiem sympatji i zaufania. Olbrzymiem ułatwieniem naszej pracy była współpraca z WSM. i Szklanymi Domami.

Ta współpraca dała nam nietylko teren, ale i środki działania, a jednak nie krępowała nas w doborze metod i nie skłaniała do zgubnego oportunizmu. Warto przypomnieć skromne początki naszej pracy. Małe przedszkole, w małym lokaliku sporo dzieci. Rodzice przysyłają je żeby się nie wałęsały. Trzeba tanio, tak po domowemu zorganizować i prowadzić przedszkole.

Zrozumienia potrzeb i celów przedszkolnego wychowania jeszcze niema. Rychło błędy wychodzą na jaw i mszczą się. Brak higieny ciała i psychiki dziecka daje złe rezultaty.

Ale błędy są natychmiast dostrzeżone i stają się argumentami przemawiającymi za reformą.

Nikt już nie chce prowadzić przedszkola „tanim systemem gospodarskim”. Dzielimy dzieci



na mniejsze grupy umieszczamy je w większym lokalu.

W zmienionych warunkach osiągamy coraz wyższy poziom pracy wychowawczej i organizacji. Zmienia się sposób podejścia do dziecka, zmienia się organizację jego zajęć i oto dochodzimy do rezultatów, które starano się napróżno osiągnąć przez stosowanie metod prymitywnych, potrafimy już **teraz** wychowywać w przedszkolu w małym domku około setki dzieci, obniżyliśmy przytem wydatnie koszt utrzymania dziecka i jednocześnie podnieśliśmy poziom pracy wychowawczej.

Już od przedszkola podjęliśmy doniosłą pracę uspołecznienia dziecka, i tu wystąpiło trudne zagadnienie podstaw, na których oprzeć się musi stosunek dziecka do „społeczeństwa”.

Problem t. zw. „wychowania moralnego” wymagał rozwiązania zgoła odmiennego od przyjętych w szkolnictwie polskim.

W tych warunkach musieliśmy sprecyzować nasze stanowisko w sprawie nauczania religii jako podstawy moralnego wychowania.

R. T. P. D. stanęło na stanowisku wykluczającym wszelki kompromis w tej dziedzinie.

Stwierdziwszy zasadniczą rozbieżność założeń i celów wychowania religijnego i świeckiego postanowiliśmy nadać zarówno przedszkolu jak i szkole charakter świecki. Odrzucając wszelki kompromis w tej dziedzinie nie zgodziliśmy się na żadną formę współdziałania w naszej pracy wychowawczej katechetów.

W ten sposób powstała szkoła świecka R. T. P. D.

I znowu okazało się, że postępując zgodnie z naszą ideologią wyprzedziliśmy praktykę codziennego życia prywatnego wielu ludzi stojących nawet najbliżej nas.

Znowu napotkaliśmy na trudności. Był moment, że zaczęto odbierać dzieci z naszej szkoły powszechnej. Nie czyniono tego w przekonaniu, że świeckość naszej szkoły wpłynie ujemnie na ukształtowanie osobowości dziecka i na jego postawę moralną, lecz z obawy przed potęgą ciemnych sił, którym wypowiedzieliśmy walkę.

Znaleźli się ludzie „przyjaciele” którzy po przyjacielsku tłumaczyli nam, że się zgadzają z naszymi poglądami, ale przecież głową muru się nie przebije, trzeba ustąpić „choćby pozornie”.

R. T. P. D. okazało się odpornym na te przyjacielskie kuszenia, przetrwaliśmy okres paniki. Nasz spokój, nasza konsekwencja przyczyniły się do rozproszenia obaw, prawa dzieci, które zostały przy nas, obroniliśmy, nasza postawa sprawiła, że dzieci wróciły do naszej szkoły i jej świeckość już od paru lat przestała być przedmiotem dyskusji i źródłem obaw.

Rozumiejąc wielką odpowiedzialność, która ciąży na nas jako pionierach świeckiego wychowania, staramy się rozwinąć i udoskonalić nasz wpływ wychowawczy. Rozbudowaliśmy wychowanie przyrodnicze i artystyczne. Mimo

znamiennego dla okresów reakcji odrotu od przyrody do podporządkowanego doraźnym celem wychowania pseudohumanistycznego, które w istocie sprzeczne jest z duchem zarówno nauk humanistycznych jak i humanizmu, utrzymaliśmy przyrodniczy kierunek naszej pracy nauczycielskiej w czym pomogło nam posiadanie zwierzyńca i ogrodu.

Realizując w pełni obowiązujący program, rozwijamy w dziecku umiejętność obserwacji, krytycznego myślenia i praktycznego działania.

Nie będziemy tu przedstawiali całego programu rozległej pracy wychowawczej prowadzonej przez nas w przedszkolu, w szkole i świetlicy, zaznaczymy tylko, że program ten jest owocem przemyśleń i doświadczeń naszych na przestrzeni wszystkich minionych lat pracy w osiedlu.

Zarówno w opracowaniu i udoskonaleniu naszych metod i organizacji, jak i w walce o nasze ideowe postulaty idziemy wciąż naprzód.

Stojąc wobec potrzeby uruchomienia gimnazjum, podjęliśmy walkę o świeckość szkoły w Polsce na bardzo rozległej płaszczyźnie. Tu już nie chodzi o to, czy budynek przedszkola poświęcić czy nie, ani o to, czy zaangażować katechetę do szkoły powszechnej, teraz chodzi o wywalczenie prawa i uzasadnienie potrzeby i pożytku świeckiego wychowania młodzieży.

Podjęliśmy wielkie, odpowiedzialne i zaszczytne zadanie realizacji pełnego świeckiego wychowania. Nasza droga od Przedszkola do Gimnazjum doprowadziła nas na jedną z najbardziej wysuniętych placówek walki o szkołę przyszłości.

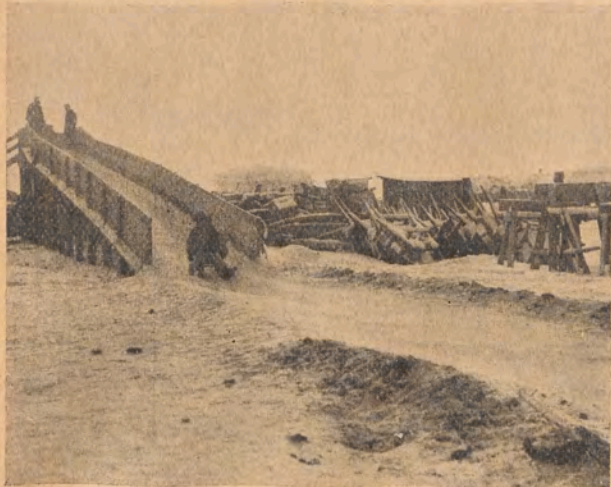
A. Landy i W. Schayer.



# MY TEŻ MAMY WSPOMNIENIA

## Moje wspomnienia z przedszkola

Chodziłem w pierwszym roku jego istnienia i doskonale pamiętam nasze spacery z Panią Aldoną i Panią Wandą; chodziliśmy wówczas na tor, zbudowany przez Szczypka. Tor ten był z drzewa, wykładany lodem; mieścił się tam, gdzie jest ogród szkolny, zaczynał zaś



przy miejscu, gdzie później zbudowano III-ą kolonję, a kończył w miejscu, gdzie jest teraz V-a kolonja. Wogóle inaczej wtedy wyglądał Żoliborz: na placu Wilsona była tylko I kol. i fundamenty II-ej oraz dom spółdzielni „Feniks”; nie było parku Żeromskiego ani domu

„ZUPU”. Również nasze przedszkole było bardzo skromne w porównaniu z dzisiejszym przedszkolem. Zajmowaliśmy lokal, w którym mieści się dzisiaj czytelnia R. T. P. D., śniadania zaś jadaliliśmy w dzisiejszym pokoju nauczycielskim, a szatnię mieliśmy na galerji, skąd patrzyliśmy, jak jacyś panowie kreślili plany; pewnie z tych planów wybudowano dziś wszystkie kolonje W. S. M.

Bawiliśmy się w przedszkolu bardzo dobrze. Ja szczególnie lubiłem taką zabawę: ustawialiśmy klocki jeden obok drugiego, ustawione w ten sposób kilkadziesiąt klocków, następnie popychaliśmy ostatni, on zaś swoim ciężarem popychał następny i t. d. Nazywaliśmy tę zabawę „zabawą w kolej”. Nad tą „koleją” budowaliśmy tunele.

W przedszkolu nie tylko bawiliśmy się, ale również lepiliśmy z gliny, wyplataliśmy z rafji i rysowaliśmy. Raz, — pamiętam to dobrze ściągałem od Poldasa żywcem rysunek, przedstawiający łódź żaglową, która ciągnęła na linie łódkę; na niej siedział przywiązany jakiś olbrzym. Mój rysunek różnił się od Poldasowego tem, że parowiec ciągnął łódkę, a ta ciągnęła olbrzyma. Naturalnie rysunek Poldasa był o wiele lepszy, niż mój.

Mieliśmy też od czasu do czasu próby w związku ze zbliżającą się gwiazdką. Kierowała temi próbami Fela, która była naszą wychowawczynią. Czas w przedszkolu spędzaliśmy wesoło i przyjemnie. Dzisiejsze przedszkole jest tylko dlatego lepsze, bo ma własny „szkolny domek”.

Dzisiaj ma własny budynek przedszkole, a jutro może będzie miała własny budynek i szkoła i gimnazjum?..

Jurek z VI-ej klasy.

## ERTEPEDE W ZALĄŻKU

Nie myślcie, że to półczłowiek a półkogut, czy lis — nie. Jest to porostu Przedszkole i Szkoła w załączku, czyli roześmiana gromada dzieci pod opieką 2-ch przedszkolanek i 3-ch nauczycieli.

Przedszkole i Szkoła to 3 nieduże pokoje w Części Społecznej W. S. M. w I-szej Kolonji na II piętrze i sporo hałasu na podwórzu, a jeszcze więcej na fortach, gdzie można swobodnie kopać „tunele” i zjeżdżać „z górki na pazurki”.

— W Szkole to bardzo przyjemnie; pan Jaś śpiewa, pani Fela gra i w kominiarza się z nami bawi, a potem to spacer, a na spacerze to śpiewamy: „Gdzie idziecie jeże...”.

— Aha. Jeszcze przedtem, to śniadanie. Narazie nam przynoszą, ale niedługo będzie Szkoła miała własną kuchnię w suterynie i będzie winda z zupą jeździć aż do świetlicy, bo my tam będziemy jedli.

— Teraz zima i wszyscy chodzimy na saneczki, a ze śniegu robimy „bałwana” z czapką i oczyma z węgla. „Bałwan” jest wielki — większy od pana Janka — a później rzucamy w niego śniegiem.

— Czasem pan Szczypek z nami się bawi i wtedy jest morowo; pan Szczypak jest słoniem, a my na nim

jedziemy przez pustynię aż do I-szej kolonji i śpiewamy „Miała babuleńka kozła upartego...” — tak jak na kucielkach.

Tyle najmłodsze „Ertepedziaki”. A teraz posłuchajmy tych starszych, co się opiekunami, wychowawcami, przedszkolankami (często w jednej osobie) nazywają:

— Wie pan wczoraj na drugie śniadanie dla dzieci miała być fasola z zacierkami, ale zapóźno zaczęła się gotować. Byliśmy w niemalym kłopotcie. Naraz zjawia się nasz Administrator i dobrą radą wybawia nas z kłopotu: „wyjmijcie fasolę, a smak z niej z zacierkami będzie doskonałą zupą”. — Odetchnęliśmy — żeby ten Administrator... on zawsze pomoże... Jeszcze trochę, a nabierzemy wprawy w gotowaniu śniadań, przecież dopiero tydzień gotujemy. Na drugi rok będziemy mieli swoje naczynia, nie będziemy pożyczać u sąsiadek, a to dużo w gotowaniu pomaga.

— Największy nasz kłopot, to matki przychodzące po swoje dzieci. Przychodzą zawsze zawczasem. Kiedyś wracamy z dziećmi ze spaceru — matki czekają.

Jedna z nich podchodzi do mnie pełna wzburzenia i mówi: „powiem pani w sekrecie, że ten mały Franuś z waszego Przedszkola, jest poprostu okropny. Niech sobie pani wyobrazi, że on mojej Zosi wypycha szpilki za paznokcie, patyczki do uszu, a nawet próbował do oczu...” — Przeraziłem się. — Pytam, kiedy i gdzie

## Drzewka i kocioł

Gdy tylko zbudowano I kol. W. S. M., założone zostało przedszkole. Mieliliśmy tam dużo zabawek i często chodziliśmy na spacery po niezrównanych terenach i po fortach, gdzie teraz są duże domy i park Żeromskiego. Na Żoliborzu było wtedy bardzo pusto, gdyż było tylko kilka domów oficerskich i nasza I kolonja. Po zbud-



waniu I kol. była uroczystość sadzenia drzewek, aby podwórko jej nie było puste. W tej uroczystości brało też udział przedszkole. Pamiętam, jak ciągnęliśmy losy w postaci kredek. Umówiliśmy się, że kto wyciągnie czerwoną kredkę, będzie sadił drzewko. Przypadła ta czynność na Jasię. Wtedy była mała i ledwie mogła udźwignąć łopate z ziemią.

Z przejściem z przedszkola do wyższych klas trzeba było coraz więcej uczyć się i pracować. W tym czasie budowano dalsze kolonje. My chodziliśmy na zakładanie

to się stało, skąd ona wie o tem — i tu dopiero sensacja. — „Sąsiadka mówiła, że słyszała jak dzieci krzyczały: nie wpychaj jej szpilek...”. Po długiej rozmowie przekonałam nareszcie matkę, że dzieci w Przedszkolu bawią się i pracują stale pod opieką wychowawczyni.

Takich historyj wysłuchaliśmy wiele i wiele czasu trzeba będzie, jeszcze na to, żeby rodziców do naszej instytucji zupełnie przekonać.

Po takich rozmowach smutno się nam robi, ale na pociechę zostają dzieci — gawiedz cała, która przez dzień dokazując, przy pracy jest cudowna; pełna życia i ochoty do budowania domów z piasku, mostów z klocków, a z bibulek chorągiewek na nasze święto, na święto 1-go Maja:

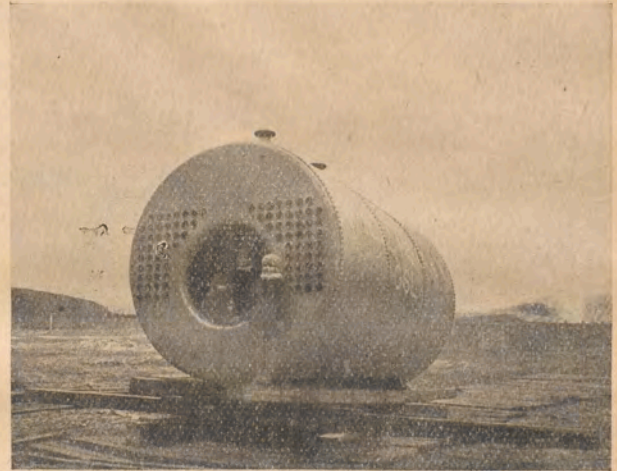
A kiedyś, kiedyś w przyszłości,  
Przy życia nowego budowie,  
Niejeden w słowach miłości  
O szkole radosnej opowie  
dzieciom lepszego Jutra.

I wszystkie Franusie, Baśki,  
Witki i Hele ze szkoły,  
Z przedszkola Miki i Kaśki,  
Ryśki i Zygmunta wesoły  
o R. T. P. D. nie zapomną.  
Bojan.

kamień węgielnych. Biegaliśmy po budowlach i pytaliśmy się z zaciekawieniem, co na tych terenach potem będzie. Gdy przywieziono duży kocioł i ustawiono go na błotach, my bawiliśmy się obok i dokazywaliśmy, nie wiedząc, że on potem stanie w kotłowni i będzie ogrzewał wszystkie mieszkanie w kolonjach.

Z czasem obok kotłowni została też zbudowana sala teatralna, w której urządzamy akademje i przedstawienia dziecięce. Co rok obchodzimy święto 1 Maja i coraz lepiej nam się to udaje.

*Danka z I-ej klasy Gimnazjum.*



## Moje trzy szkoły

Gdy dwa lata temu przeprowadziliśmy się z Niemiec do Polski, mamusia zapisała mnie do szkoły R. T. P. D. W pierwszym dniu szkolnym zostałam uderzona niezwykłą swobodą i wesołością dzieci, której w niemieckiej szkole nigdy nie odczuwałam. Zachwyciły mnie także śniadania, to znaczy: sala jadalna, czerwone stoliki i miseczki, z których dzieci jadły. W Niemczech każde dziecko musiało śniadanie z domu przynosić. Zato nie bardzo podobała mi się poufałość dzieci z nauczycielami. Słyszałem np.: „Chodź tu, Anielko!”

Wielkie słoneczne klasy różnią się też bardzo od klas szkoły niemieckiej, która była ponura i nieprzyjemna. Ale tłuc się umiemą nasi uczniowie lepiej od dzieci z niemieckiej szkoły.

Najwięcej jednak spodobały mi się poobiednie zajęcia w naszej świetlicy, jak inscenizacje i rytmika, o których w szkole niemieckiej nigdy nie słyszałam.

Ale perłą naszej szkoły jest dziecięca czytelnia z biblioteką. Podoba mi się szczególnie ten nastrój, który panuje w czytelni, ta cisza. Bardzo przyjemnie jest tu czytać, kiedy czasem przychodzę.

Chodziałam już do trzech szkół: do niemieckiej, do szkoły wiejskiej, a trzecią i najlepszą jest nasze R. T. P. D.!

*Kubusia z V-ej klasy.*

## Szkola i spółdzielnia

Dużo rzeczy pamiętam o początkach W. S. M. i R. T. P. D. Pamiętam, że gdy sprowadziliśmy się, I kolonja nie była jeszcze skończona. Gdy poszłam do przedszkola, było tam zaledwie kilkanaścioro dzieci, a szkoła miała

tylko 3 oddziały. Teraz ma ona 6 oddziałów i I kl. gimnazjalną. Gdy W. S. M. wybudowała II i III kolonję, sadziliśmy tam drzewka. Jak teraz spojrzymy na nie, myślimy z dumą, że to nasza praca. Drzewka wyglądają już bardzo ładnie.

Teren na założenie ogrodu szkolnego był mały i nieuporządkowany, gdy otrzymało go R. T. P. D. Najtrudniejszy był początek, gdy przekopywano i ogradzano.



Dużo pomagały w tej pracy dzieci i dostały w dwa lata potem zagonki, by mogły hodować na nich rośliny i obserwować je. Teraz ogród jest znacznie większy, a w tamtym roku sadziliśmy w nim krzewy i drzewa. Gdy wybudowano „Szklany domek” dla przedszkolaków i I-go oddziału odbyło się uroczyste przeniesienie ich do nowego lokalu. Każde dziecko brało krzesło lub stolik na plecy i dalejże uroczystym pochodem do nowego przedszkola!

W. S. M. wybudowała jeszcze IV, V, VII i VIII kolonję. Wszystkie domy (były) budowane z dużymi oknami, żeby w pokojach było dużo światła i słońca. Pamiętam jak sadziliśmy drzewka na VII kol. Choć niedawno sadziliśmy je, są jednak dosyć duże.

Kiedy postawiono fundamenty domów na Rakowie, pojechaliśmy tam z wielką paradą samochodem ciężarowym. Po przybyciu na miejsce i uroczyste odsięwanym hymnie robotniczym, każdy cisnął się, by się podpisać na papierze włożonym potem do cegły zamurowanej razem z innymi. Za kilka dni będzie 10-lecie powstania W. S. M. Przez ten czas szkoła i Spółdzielnia dużo zrobiły!

*Danusia z V-ej klasy.*

## Moje wrażenia z dwóch szkół

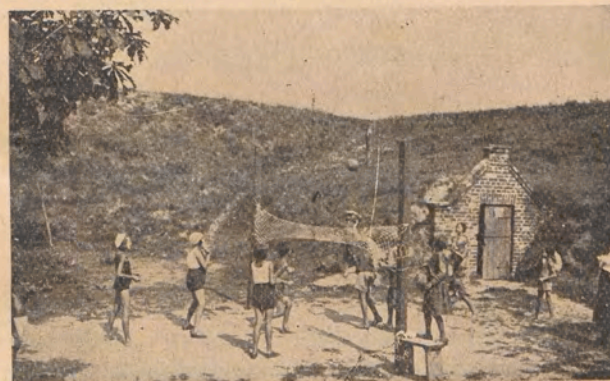
W Liceum Krzemienieckim spędzaliśmy czas bardzo wesoło, mieliśmy dużo boisk. Dwa były przeznaczone na tenis inne do koszykówki, do siatkówki i do biegów. Wszystko to odbywało się w parku otoczonym murem.

Ale zato nie było u nas zwierząt, jak tutaj, gdzie mamy lisa z lisietami, boćka, świnki morskie, króliki, żółwie, myszki, króliki i wiewiórki. W Warszawie lekcje odbywają się tak samo, zabawy są na mniejszym terenie. Codzień mamy po południu i świetlicę, gdzie można się uczyć, czytać i pysznie się bawić. Chłopcy mają warsztaty, my roboty ręczne, ciekawe są zabawy i gry umysłowe. Co drugą sobotę mamy kino. Dotychczas była tylko jedna uroczystość, na „Dzień Spółdzielczości”, wtedy szliśmy pochodem. Tutaj jestem krótko, więc nie wszystko jeszcze ogarnęłam

*Irenka z I-ej klasy Gimnazjum.*

## Takie swoje, a przecież wspólne

Jestem jednym z uczniów, którzy przeszli w tym roku z innej szkoły do Gimnazjum R.T.P.D. Od pierwszego dnia ogarnęła mnie zupełnie inna atmosfera, — atmosfera swobody. Znikło skrepowanie, onieśmienie, poczułem się jak w domu. Każda lekcja, każda godzina przynosiła coś nowego. Wszystkie nowe wiadomości tak jakoś prosto i łatwo gromadziły się w umyśle. Każda wykonana praca była raczej rozrywką. Już sam lokal szkolny nastraja pogodnie i radośnie. Wysokie, jasne, słoneczne klasy, wielka sala gimnastyczna, wszystko jest tak miłe, wesołe, takie swoje własne. Jest niby moje, a przecież wspólne. I ten sklepik szkolny, w którym wszystko kupić mogę i ogród zoologiczny, o który dba cała szkoła, i zagonki, rękami uczniów i uczniem pielęgnowane. Wszystko jest wspólne i dlatego miłe. Nawet śniadanie szkolne przy jednym stole smakuje lepiej, niż dawna bułka, którą się jadło „nastojąco” w kurzu i niewygodzie. Szkoła jest mi coraz bliższą. Jeżeli się zdarzy czasem, że muszę zostać w domu, czuję się nie-szczęśliwy. Godziny spędzone w świetlicy należą do naj-miłszych. Wiem, że wtedy nietylko się bawię lub czy-



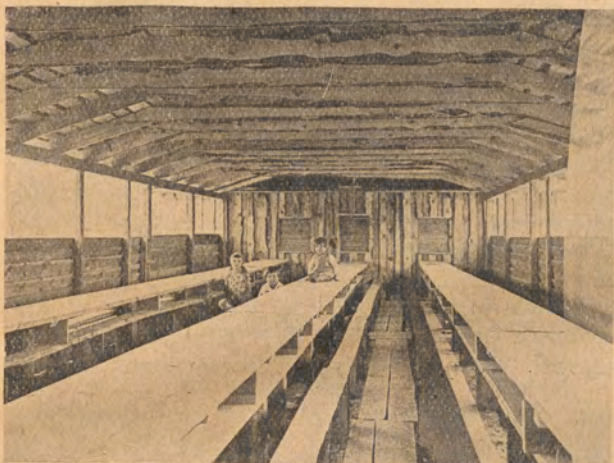
tam książkę, ale jednocześnie uczę się żyć z kolegami. Nie kłócimy się, nie bijemy, a przecież miłk nas nie karze, nie stawia do kąta. Pracujemy wspólnie i bawimy się razem. Wiemy sami, że trzeba teraz właśnie wykonać to lub tamto. Wiemy sami, że trzeba myć ręce przed śniadaniem. Uczy nas szkoła mieć czyste ręce i czyste sumienie.

*Janusz z I-ej klasy Gimnazjum.*



## OD KUCHNI ROBOTNICZEJ DO GOSPODY SPÓŁDZIELCZEJ

W r. 1929 W. S. M. tętniła już zorganizowanym życiem społecznym, miała bowiem za sobą 3½ roku pracy we własnym osiedlu. Budowano właśnie III kolonję i wtedy wyłoniła się potrzeba zaopatrywania w żywność robot-



ników, zatrudnionych przy budowie. Powstała myśl założenia jadalni i kantyny. Inicjatywa kierownictwa budowy i administracji osiedla została zrealizowana w czerwcu 1929 roku w postaci „Kuchni Robotniczej”. Akcję wziął w swe ręce specjalny komitet, złożony z przedstawicieli robotników, zatrudnionych na budowie, W. S. M., S. P. B. Stow. Klubów Kobiet Pracujących i Szklanych Domów. Ustawiono prowizoryczną szopę, wypożyczono 2 wojsko-



we kuchni polowe i po uzyskaniu pożyczki od Zarządu W. S. M. rozpoczęto działalność. Wydawano obiady i śniadania oraz prowadzono bufet.

Należność za obiady potrącana była robotnikom przy wypłacie. „Komfort” rósł w szybkim tempie, bo już w lipcu zainstalowano trzylam-

powy radjoodbiornik z głośnikiem, aby uprzyjemnić czas obiadowy. Kuchnia robotnicza miała mieć początkowo charakter sezonowy, związana była bowiem z budową. Stało się inaczej — w roku 1930 kuchnia czynna była bez przerwy a nawet otworzyła filję na Żoliborzu Oficerskim, gdzie budowało S. P. B. a ponadto wydawała bezpłatne obiady bezrobotnym, finansowane przez Magistrat, osiągając zupełnie poważne obroty.

Wydawane posiłki zasmakowały nie tylko zatrudnionym przy budowie, lecz również mieszkańcom osiedla a półtora roku żywej pracy dało bodźca do utworzenia trwałej instytucji, opartej na zasadach spółdzielczych.



W tych warunkach powstaje „Gospoda Spółdzielcza”, która przejmując jadalnię i sklepik Kuchni Robotniczej, nie wyrzeka się jednocześnie zamiaru zaopatrywania mieszkańców osiedla w artykuły codziennej potrzeby. Pod koniec roku 1931, niezależnie od prowadzonej w dalszym ciągu kuchni robotniczej, Gospoda Spółdzielcza uruchamia jadalnię dla mieszkańców osiedla w przyziemiu IV kolonji, oraz skład opałów.

Nie należy zapominać, że działalność tej nowej spółdzielni rozwija się obok działającej już oddawna, bo od r. 1927, na terenie W. S. M. Warszawskiej Spółdzielni Spożywców. Ułożono porozumienie między obiema spółdzielniemi i rozgraniczono ich zakres działalności, wyznaczając dla Gospody prowadzenie jadalni, składu opałowego i mleczarni, którą przejęto od spółdzielni „Zdrowie” w domu cémunimowym w IV kolonji.

Nieruchliwość organizacyjna W. S. S., postawiły Gospodę wobec konieczności otwarcia nowego sklepu w VII kolonji. Znaczne ograniczenie działalności budowlanej S. P. B. zmusiło „Gospodę” do skasowania specjalnych obiadów robotniczych, zrobiono natomiast próbę oży-



wienia jadalni przenosząc ją do większego specjalnie przerobionego lokalu w I kolonii.

Zdecydowaliśmy się na podjęcie znacznego wysiłku uruchomienia własnej spółdzielni spozyców w naszym osiedlu bez oglądania na czyjąkolwiek pomoc.



Uzyskawszy przyrzeczenie współpracy ze strony organizacji, zrzeszonych w M. K. P., nowo wybrane władze Gospody wzięły na siebie trud wydzwignięcia spółdzielni, mimo bardzo pesymistycznych ostrzeżeń. W maju 1933 roku obejmuje „Gospoda Spółdzielcza” sklepy w I i II kolonii oraz jatkę po W. S. S., której ogłoszono upadłość.

Jest rzeczą chyba zrozumiałą, że tak szybki wzrost zakresu działalności musiał nastreczyć Gospodzie wiele nowych trudności. Z satysfak-

cją stwierdzić można, że te wszystkie trudności nie zahamowały jej rozwoju, mimo bardzo szczupłych funduszy własnych i małej liczby członków.

Dzisiejszy stan Gospody, wyrażający się liczbą 450 członków i obrotami około 600 tysięcy rocznie, dobitnie świadczy, że poważny wysiłek organizacyjny opłacił się, stała się bowiem instytucją niezbędną w życiu codziennym naszych osiedli.

Gospoda odziedziczyła po Kuchni Robotniczej tradycję placówki robotniczej. Tradycję tę ceni sobie wysoko i stale zabiega o podkreślenie tego charakteru.

Osiedle Rakowieckie, ostatni etap ekspansji Gospody — to praktyczne wprowadzenie w życie tej tradycji.

A. R. L.



## K O M U N I K A T Y

### W. S. M.

#### ● Amnestja.

W rocznicę *dziesięciolecia W. S. M.* — Rada Nadzorcza Spółdzielni postanowiła skreślić *wszystkie punkty karne* postawione przez Komisję Dyscyplinarną lokatorom za nieprzestrzeganie przepisów korzystania z mieszkań.

Władze Spółdzielni są przekonane, że uspołecznienie mieszkańców będzie w dalszym ciągu postępowało naprzód, tak, aby zdrowe i spokojne mieszkanie stało się w Osiedlu naprawdę udziałem wszystkich.

#### ● Warunki mieszkaniowe robotników w okresie kryzysu i bezrobocia.

Pod tym tytułem wydał Instytut Gospodarstwa Społecznego źródłowe opracowanie Antoniego Zdanowskiego oparte na ankiecie, przeprowadzonej przez autora w 19 ośrodkach przemysłowych Polski.

Na 115 stronicach mamy zobrazowaną dokładnie rozpaczliwą sytuację mieszkaniową klasy robotniczej w Polsce po 15 latach budownictwa mieszkaniowego,

które w zupełnie nikłym stopniu uwzględniło potrzeby robotników.

Książka jest do nabycia w biurze W. S. M. w cenie 4 zł. za egzemplarz.

### Osiedle na Żoliborzu

#### ● Nie będzie przystanku tramwajowego.

Dyrekcja Tramwajów zawiadomiła Spółdzielnię, że nie może przychylić się do prośby lokatorów IV kolonii w sprawie ustanowienia przystanku tramwajowego na skrzyżowaniu ulic Ustronie i Krasińskiego. Dyrekcja motywuje odmowę tem, że zbyt gęste zagęszczenie przystanków powoduje zwolnienia biegu tramwajowego.

#### ● Regulamin korzystania z pokoiw gościnnych Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

##### § 1.

Z pokoiw gościnnych korzystać mogą jedynie: członkowie Spółdzielni, członkowie instytucji społecznych, będących członkami Spółdzielni, oraz wycieczki zwiedzające Osiedle.

## § 2.

Zgłoszenia przyjmuje referent członkowski i kieruje do gospodarza pokoiów. Miejsce wyznacza gospodarz pokoiów. Z pokoiów nie można korzystać więcej niż 10 dni.

## § 3.

O ile korzystający z gościny przebywa w pokoju dłużej niż 3 dni, winien złożyć karty zameldowania prowadzącemu meldunki w biurze Spółdzielni przy ul. Kraśnińskiego 16.

Gospodarz pokoiów codziennie nadsyła prowadzącemu meldunki wykaz osób, które zajęły i opuściły pokoje.

## § 4.

Oplaty: Łóżko z pościelą Zł. 1.50 dziennie

„ bez pościeli „ 1.— „  
(tylko materac i koc).

## § 5.

**Przepisy porządkowe:**

Korzystający z pokoiów gościnnych obowiązani są do utrzymywania czystości i porządku.

a) Nie należy: kłaść się w ubraniach i obuwiu na łóżkach, krajać na stołach i parapetach oraz krzesłach, czyścić ubrań w pokojach i na balkonie, wyrzucać niedopałki, odpadki na podłogę, lub za okno, lub też do miski klozetowej i umywalki, palić lampek spirytusowych lub benzynowych.

b) W pokojach należy zachowywać ciszę i nie zakłócać spokoju sąsiadom.

c) Światło używać oszczędnie w miarę rzeczywistej potrzeby.

d) Krany wodociągów szczelnie zamykać.

Za szkody, wyrządzone odpowiada korzystający z pokoiów i pokrywa straty Spółdzielni.

Pieniądze i kosztowności winny być pozostawiane do przechowania w biurze Spółdzielni.

**Stow. „Szkłane Domy“**● **Koło turystyczne.**

Sekcja narciarska Koła Turystycznego W. S. M. przygotowuje się intensywnie do nadchodzącego sezonu. Wzorem lat ubiegłych zamierzone są wycieczki narciarskie w okolice Warszawy, natychmiast z chwilą nastania warunków śnieżnych.

Oprócz tego Koło Turystyczne, poraz pierwszy w bieżącym sezonie, za pośrednictwem Zarządu Głównego Rob. Tow. Turystycznego, zgłosiło na oficjalną listę

Polskiego Związku Narciarskiego, *górskie obozy zimowe*, których uczestnicy korzystać będą z ulgowych warunków pobytu i 80% zniżek kolejowych na przejazd tam i z powrotem.

W terminach 1—14.II i 15 — 28.II organizujemy 2 obozy wyszkoleniowe w Siankach, cudownej miejscowości u podnóża Karpat. Pierwszorządne tereny, możliwość zażycia wrażeń cudnej zimy karpackiej oraz opanowania umiejętności jazdy na nartach pod kierunkiem wykwalifikowanych instruktorów — wszystko to winno zachęcić jaknajszersze koła mieszkańców WSM., aby skorzystali z tej sposobności. Obozy te są dostępne dla wszystkich, a opłaty zostały skalkulowane możliwie nisko (30 zł. dla członków Koła, 36 zł. dla pozostałych uczestników).

\*\*

\*

W pierwszej połowie marca Koło nasze organizuje poważniejszą imprezę turystyczno - narciarską, *raid karpacki na szlaku Sianki - Rafajłowa*. Raid ten wyruszy dn. 2.III z Sianek, drogą na Pikuj i Klimiec, dotrze w dniu 5.III do Sławski, stąd zaś po jednodniowym odpoczynku przejdzie przez najbliższą i mało znaną część Karpat (t. zw. Gorgany), drogą na Wyszkiw, Świce, Jale i Borewkę dochodząc w dniu 14.III do Rafajłowej, osady słynnej z historii bojów legjonowych.

Zapisy na wszystkie wymienione obozy przyjmuje sekretariat Koła. Pożądane wcześniejsze zgłoszenia, gdyż liczba miejsc jest ograniczona, a kierownictwo obozów wobec spodziewanego dużego ruchu turystycznego musi zatroszczyć się o zakwaterowanie i wyżywienie uczestników.

**Oddział R.T.P.D. na Żoliborzu**● **Opieka szkolna.**

Zarząd Opieki rodzicielskiej przedszkola i szkoły R.T.P.D. na Żoliborzu zwraca się z prośbą do mieszkańców Osiedla o zaopiarowanie zbędnych im a przydatnych do użytku: bielizny, odzieży i obuwia dla dzieci niezamężnych rodziców naszego przedszkola i szkoły.

Obecnie przy porządkowaniu szaf i bieliźniarek na lato, napewno znajdzie się coś z tych rzeczy zbędnego, co, zamiast do wyrzucenia, może być zużyte przez te dzieci, które są w potrzebie.

Apelujemy o to gorąco i wierzymy, że nie przejdzie to bez echa.

Zaopfiarowane przedmioty prosimy składać pod adresem Opieki do Kancelarii Szkoły w I-ej kol.

**WALNE ZGROMADZENIE  
DELEGATÓW W. S. M.**

odbędzie się w czwartek 19 grudnia w sali zebrań I kolonii na Żoliborzu z następującym porządkiem obrad: 1) Ukonstytuowanie zebrania i zatwierdzenie protokołu; 2) Prowizorium budżetowe na I kwartał 1936 roku i sprawa oddłużenia Spółdzielni; 3) Zmiany w regulaminach samorządu mieszkańców, przydziału mieszkań i Funduszu Społeczno-Wychowawczego.

Początek obrad o godz. 18ej. Wstęp za okaza niem mandatu delegata.